Nr. 2. Lwów, Niedziela dnia 27. września 1874 r. Rok I.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr

LUŹNE UWAGI.

II.

O KSIĄŻKACH POPULARNO-NAUKOWYCH.

Narzekał ktoś niedawno w jednem z lwowskich pism czasowych, iż uczeni i artyści polscy nie w kraju, ale za granicą szukają uznania i poważania, iż radzi szukają chluby w powodzeniu u obcych, i na tem powodzeniu wyłącznie prawie opierają niejako swój tytuł do uczoności lub do mistrzowstwa w sztuce. Nie da się to zaprzeczyć, i niemniej też jest prawdą, że ogół nasz najczęściej dopiero przed takim zagranicznym patentem uchyla czoła, własnemu zaś sądowi nietylko w sprawach nauki nie dowierza, ale nawet w rzeczach sztuki ośmiela się wielbić i podziwiać jedynie to, co zagranicą doznało uwielbienia i podziwienia. Narzekanie na ten nasz brak samoistności sądu jest naturalnym bardzo wynikiem dotkniętej narodowej miłości własnej, nie można wszelako ani spodziewać się, ani nawet pragnąć, rychłej a radykalnej zmiany w tej mierze. Najpierw bowiem, żaden naród nie stał się dotychczas tak wszechstronnym i potężnym piastunem nauk i sztuk pięknych, by wystarczył sam sobie w którymkolwiek kierunku — a jedni tylko Niemcy zarozumiałość swoją posunęli tak daleko, że cała cywilizacja nowoczesna zdaje im się być wyłączną ich własnością i mówią o niej w śmiesznie chełpliwy sposób, jako o „kulturze niemieckiej.“ Trudno zapuszczać się w wywody, jak szkodliwie ten zbytek dobrego o sobie rozumienia oddziała na przyszły rozwój umysłowy Niemiec — co do nas, już sam stosunek liczebny nakazuje nam więcej skromności w tej mierze, niż któremukolwiek narodowi zachodniemu. Jest nas mniej i podzieleni jesteśmy na trzy dzielnice, których obcowanie umysłowe utrudnione jest bardzo, a po części, uniemożebnione. W jednej dzielnicy wolno bardzo tylko niewiele czytać, a jeszcze mniej pisać; w skutek tego, inne dzielnice zaledwie zwracają uwagę na to, co się w tamtej drukuje, i piszą i drukują dla siebie. Ztąd pochodzi brak dostatecznej, domowej niejako kontroli nad produkcjami własnego ducha, brak krytyki, a ogół czując ten brak, obawia się jego skutków i ogląda się na zagranicę, nim uwierzy w zasługę swoich uczonych, w genjalność swoich artystów. Gdyby było inaczej, gdybyśmy na wzór n. p. Czechów, każdego autora kilku miernych książek, każdego rozcieracza farb i każdego dręczyciela fortepianu otaczali aureolą domorosłego genjuszu, opłacałoby się niezawodnie lepiej, być autorem lub artystą w Polsce, ale klątwa mierności spoczęłaby raz na zawsze na naszej produkcji umysłowej, jak to widzimy u pobratymców naszych nad Weltawą. Ma więc niezawodnie dobre swoje strony to nasze oglądanie się na zagranicę, i nie czyni nam bynajmniej ujmy — owszem, stawia nas godniej w rzędzie narodów cywilizowanych i świadczy, że nie jesteśmy tak ubogimi, byśmy się obawiać musieli silniejszego przewiewu, dzielącego plewę od ziarna, w sferze naszych usiłowań duchowych.

Obrona ta ogółu polskiego, sama przez się jest już obroną uczonych i artystów naszych przeciw zarzutowi, o którym mowa. Ale jest jeszcze jeden wzgląd, który broni uczonych, a dla ogółu mniej jest pochlebnym. Oto, ogół nasz nie ma dla nauki tego wysokiego poważania, tej czci prawie religijnej, jakiej ona doznaje gdzieindziej. Prędzej już umiemy wielbić artystów, poetów, powieściopisarzy, bo dzieła ich są powszechnie przystępnemi — nauki w ścisłem tego słowa znaczeniu „cenić“ nie umiemy, bo nie umiemy jej „ocenić“. W pierwszym numerze *Tygodnia* wskazano, jak powszechne zajęcie budzą badania i postępy nauk w Anglji. Nam jeszcze bardzo daleko do czegoś podobnego — nie, jakoby u nas lekceważono naukę, lecz z tej przyczyny, że nie znaleźli się dotychczas tacy, którzyby umieli ją popularyzować, obznajamiać szersze koła z jej postępami, z jej walkami i potrzebami. Jest to fakt charakterystyczny, że np. we wschodniej Galicji zdołano dotychczas utworzyć zaledwie cztery stacje meteorologiczne. Nie może być inaczej, skoro nikt nie wskazał dotychczas, jak wielkiej wagi są obserwacje meteorologiczne, i jak bardzo profan nawet przysłużyć się może nauce pilnem i ścisłem postrzeganiem pewnych zjawisk w przyrodzie. W piśmiennictwie naszem brak jest całego jednego wielkiego działu, brak popularnych podręczników naukowych. Te, które się pojawiły, nie odpowiadają potrzebie i popularyzują raczej niestwierdzone systemata i hipotezy, niż niezbite wyniki analizy i jej metodę. Snać autorom chodziło bardziej o to, by podziałać na wyobraźnię czytelników, niż o to, by ich pouczyć i wykształcić. Nawet w przekładach z obcych języków, czyniono wybór w tym a nie w przeciwnym kierunku, ze szkodą prawdziwej nauki. Podawaną ona jest ogółowi z przyprawą śmiałych pomysłów francuskich, lub na jeneralnym sosie filozofji niemieckiej — a ktokolwiek nie będąc uczonym, chciałby przecież mieć wyobrażenie o dzisiejszym stanie nauk, ten zmuszonym jest uciekać się do literatur obcych. Przy takim u nas niedostatku dzieł i pism pośredniczących między światem uczonym a publicznością, nic dziwnego, że praca badawcza szuka miary i uznania swoich zasług po za krajem.

Uwagi więc nasze zakończyć musimy wołaniem o popularne książki naukowe, przeznaczone dla klas wykształconych. Nie tylko oświaty „ludu“ potrzeba nam oświaty „narodu“, prawdziwej oświaty, nie zaś karmiącej wyłącznie wyobraźnię, a w każdym innym kierunku, opuszczającej każdego, co opuścił ławki szkolne. Wszechstronne dopiero dalsze „wykształcenie klas wykształconych“ pozwoli nam z czasem nie oglądać się tak bardzo na zagranicę i zaufać zupełnie własnemu naszemu sądowi o „naszych“ znakomitościach wszelkiego rodzaju.

Nie wyczerpawszy sprawy dziś poruszonej, którą uważamy za jednę z najbardziej piekących w naszem położeniu, wrócimy do niej w przyszłym tygodniu i staraniem naszem będzie podać wskazówki, wiodące do praktycznego urzeczywistnienia naszej myśli.—W następnym numerze, zastanowimy się, na jakiej drodze moglibyśmy przyjść do dobrych książek popularno-naukowych.

SERCE I RĘKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Panna Olimpja zapamiętale zajmowała się muzyką. Wypadł koncert jakiś na ubogich, niemieckie panie słysząc o nadzwyczajnym talencie panienki, przyjechały ją prosić aby grała. Matka się wahała, a no, gdy od księżnej następczyni tronu, przybyła dama dworu z prośbą — uległa. Kupiłem i ja sobie bilet, żeby panienkę widzieć i słyszeć. Uprojektowali grać jakiegoś tam djabła na dwa fortepiany z p. Bratankiem. Sala była pełna jak nabił, gdy naszą pannę Szambelan hr. W.... wyprowadził... Wyszła jak słońce... w białej sukni, w różach tylko, z aksamitką na szyi, spiętą brylantową klamrą... Niemcy osłupieli. Nic to że była piękną, ale zdawała się majestatem postaci tronu godną... Siadła grać, cisza jak mak siał... Ja się na tem nieznam co grali — a no piękne było... i grzmot oklasków powstał taki, jakby się sala waliła. — Nasza pani siedziała tak, żem ją doskonale widział... Spojrzała parę razy na córkę, to prawda, ale potem oczów nie spuściła z Bratanka...

Po tym koncercie upłynęły dwa miesiące. — Była pora wiosenna... Pani czegoś niedomagała, bo chciało się do wód jechać, rozumie się, że córkę i Bratanka miała zabrać z sobą...

Od niejakiego czasu Czecha pilniej zacząłem postrzegać, bo mi się zmienił... W przódy wesoły, spoważniał, osmutniał, zbladł, chodził jak nie swój... Panna się z niego wyśmiewała... Wyprosił się na kilka dni do Pragi i wrócił...

W tydzień znowu oznajmił pani naszej, że list odebrał od familji, i że starego ojca chorego odwiedzić musi. Niechciała go puszczać... a no koniec, końcem, pożegnał się i obiecując powrót pojechał.

Nazajutrz po tem, około południa słyszę w domu bieganinę... wchodzi do mnie pani sama, co nigdy się nie trafiło, palec na ustach, blada jak trup, oczy zapłakane... drżąca i zamyka drzwi za sobą... Zląkłem się okrutnie... Przybiegła do mnie i stłumionym głosem pyta: — Gdzie Olimpja?

Panienka z rana ze starszą służącą poszła była na przechadzkę...

— Ja niewiem, odpowiedziałem, pewnie już z powrotem.

— Niema jej! — zawołała pani — służącej za sprawunkami kazała iść samej do domu przed trzema godzinami... Trzeba szukać... trzeba... głosu jej zabrakło. — Ale milczeć! milczeć! milczeć mi! Gdyby w piekle była, to ją z piekła wydobędę... Ani słowa do domu... ani słowa panu! rozumiesz?...

Jak obłąkana pobiegła do drzwi i wróciła.

— Gdyby kto spytał, powiesz, że panna chora — że jest tu, w swoim pokoju — rozumiesz! Konie — kazać mi konie podać — Milczeć!

Mówiła jak nieprzytomna — ja struchlałem. Wybiegłem za nią. Wpadła do pokoju panienki i zatrzasnęła za sobą drzwi... Stanąłem w korytarzu nie wiedząc co począć — ogłupiały... Słyszę w pokoju panny hurkot, jakby co padło... otwieram drzwi, pani siedzi w fotelu z listem jakimś w ręku omdlała... Na liście tylkom poznał pismo panienki...

Nikogo niechcąc wołać, otrzeźwiłem sam... Obudziła się z płaczem, z rykiem stłumionym, powtarzając: — Ukarał mnie Bóg!... Począłem zaklinać i prosić aby się uspokoiła. Jakoż rychło porwała się z krzesła, wołając o konie, a konie już stały dawno przed domem, nakazując mi, abym pilnował pokoju panny i żeby nikt o jej zniknięciu nie wiedział...

Co się ze mną nieszczęśliwym działo, żaden tego język nie wysłowi, żadne pióro nie opisze... Biłem się z sobą czy panu dać znać, czy nie. — Lecz coby to pomogło! Otworzyły mi się teraz oczy na tę straszną tragedję, której dotąd nie rozumiałem... Matka kochała się w chłopcu... a on się kochał w córce, i córkę miała rywalką i płochość kobiety w istocie ukarał Bóg tem, że jej dziecka jedynego pozbawił przez tego, któremu dom otworzyła niebacznie...

Było południe gdy pani odjechała... Nie wiedząc kiedy powróci i jak, obrachowałem się że lepiej będzie mówić, iż panna z matką, w podróży są obie. — Z tem stanąłem u drzwi na obwachu, udając spokojnego zupełnie i uśmiechniętego, choć mi się serce krajało...

Dzień mi się stał wiekiem... Pani nie powracała. Odebrałem tylko przez posługacza kartkę z oznajmieniem, żebym mówił o wyjeździe obu i czekał na ich powrót... Drugiego dnia pani nie było... jam wysechł z gorączki i niepokoju... Czekałem dni dziesięć, dni dwanaście, dwa tygodnie. Już miałem list wysyłać do Zabrzezia, gdy wieczorem jednego dnia, słyszę szelest sukni na wschodach, dzwonek... otwieram drzwi... Blada jak trup wchodzi panna nasza, usta zaciśnięte, oczy rozognione. Spojrzała na mnie, nie widząc i nie zwracając głowy i wprost poszła do swego pokoju... Usłyszałem drzwi zamykające się na klucz... Za nią szła matka ledwie się mogąc na nogach utrzymać i jakiś człowiek obcy, coś nakształt policjanta po cywilnemu, do którego coś pani poszeptała i odprawiła go... Panna leżała chora dni kilka... w tydzień obie wyjechały do Włoch. Pani mi oddała kartkę od pana, abym do domu powracał i rzekła surowo: — Ani słowa — rozumiesz mnie — ani słowa...

Maciej zamilkł. Ks. Wikary, który opowiadania słuchał z zajęciem nadzwyczajnem, pochylony, ze łzą w oku... spuścił głowę, załamał ręce i nie rzekł też ani słowa...

Siedzieli tak długą chwilę.

— Teraz rozumiesz mój ojcze, dodał stary, dla czego nasza panna piękna, miljonowa, rozumna, jedynaczka, dotąd zamąż nie poszła... dla czego teraz, gdy nareście skłoniła ją matka, że dała słowo, ślub się już trzeci pono dzień odkłada... A biedny ojciec, który może nic nie wie, który cierpi okrutnie, — musi z uśmiechem witać gości, przyjmować powinszowania, udawać szczęśliwego i płacić za wszystkich grzechy...

Promienie gorącego słońca zaczęły się wkradać pod lipy i na ławkę. Skwar był nie do zniesienia... ks. Wikary znowu ocierając pot z czoła, wstał, podał rękę Maciejowi i westchnął...

— Prawda, rzekł, że to spowiedź... a nie wiesz, jak dobrze uczyniłeś, żeś mi dziś się jej zwierzył. Przy ślubie mam mieć do państwa młodych zwyczajną przemowę... Byłbym niewczesnem może słowem dotknął boleśnie biedną kobietę... Dobrze się więc stało — panie Macieju... Milczmy i miejmy nadzieję w miłosierdziu Bożem, że się to wszystko jakoś na dobre obróci...

Maciej podnosząc oczy ku niebu, ręce złożył, i pożegnawszy Wikarego, powlókł się zwolna ku pałacowi...

* * *

Niedaleko od granicy Wielkopolski zakordonowanej pod panowanie pruskie — jest mała wioseczka, której ogromny dwór kazał by się domyślać wielkich włości, tymczasem folwark to i ubogi i lichy i bardzo obcięty. Należały do niego dwie wioski sąsiednie, od dawna już przeszłe w cudze ręce. Dziedzic ratując ostatki mienia i chcąc zostać przy jakiejś posiadłości, utrzymał się przy Wierchówku (tak się wioska zwała) choć i na tym jeszcze długi ciężyły.

Majętność Wierchówek, w nieszczególniejszych gruntach, odcięta od znaczniejszych dóbr, nabytą została za czasów księstwa Warszawskiego, przez niejakiego pana Dobińskiego, który używanym był do różnych misji dyplomatycznych przez Napoleona i od niego nawet tytuł barona Cesarstwa francuskiego otrzymał... Dobińscy z Dobna, herbu Wręby, byli starą ubogą szlachtą rozrodzoną, której się nigdy nie śniło, by jeden z jej potomków ważniejszą jakąś odegrał rolę i prawie do ministerjalnej doszedł teki. Tak się przecie stało, gdy Cesarz Napoleon, rządząc się jak w domu w posiadłościach księcia Warszawskiego a króla Saskiego, nie ukontentowany z jednego z ministrów, chwilowo Dobińskiego mu narzucił na zastępcę tego, co na jego niełaskę miał nieszczęście zasłużyć. Dobiński w wielkich faworach u cesarza, dosłużył się tak baronowstwa, dotacji pieniężnej, legji honorowej i pewnego stanowiska na świecie.

Ale z upadkiem Napoleona cała ta wielkość prysła. Dobiński z tytułem, z uciułaną fortunką, z krzyżami kilką, choć starał się znowu wejść w życie czynne i bardzo zręcznie zalecać się umiał nowym potentatom — nigdy już pierwszego swego stanowiska odzyskać nie mógł. Jeździł i przesiadywał w Warszawie, był parę razy w Petersburgu, pilno się przypominał dawnym znajomym, szczególnie wojskowym, którzy w Królestwie pomieszczeni zostali — niedoprowadziło go to jednak do niczego. Zbywano się grzecznie pana Barona, tak że zgorzkniał i musiał na niewdzięczność ludzką wyrzekać. W istocie naówczas, gdy jeszcze w kancelarji Cesarskiej miał niepoślednie miejsce i wiele umiał a mógł robić, kłaniano mu się, ściskano go, wszyscy dłań byli z poszanowaniem nadzwyczajnem — teraz zimna odstręczająca grzeczność spychała go w te otchłanie nicości, z których się wielkim wydobył wysiłkiem. Na wszystkie tony śpiewając, z czułością dla przeszłości i z pogardą dla niej, ze współczuciem dla nowego rzeczy

porządku, z wiernopoddaństwem dla dynastji pacyfikatora Europy — nie mógł już pan Dobiński przyjść do urzędu, wkręcić się w szeregi czynne i zgryziony musiał się na wieś usunąć... Pan Ferarjusz z Dobna baron Dobiński, któremu służył tytuł ministra i Ekscellencji, za czasów gdy tak był szczęśliwie położony, iż mu się najwyższe przyśniewały zaszczyty, gdy królowie Murat, król Westfalski, książęta, jenerałowie podawali mu rękę z uśmiechem uprzejmym, gdy w księstwie zastępował ministra — poznał w Warszawie hrabiankę W.... a że był pięknym mężczyzną i wyrobił się na najczystszy wzór dyplomaty francuskiego, potrafił się jej podobać, zyskać zgodę familji, nakoniec ożenić. — Było to małżeństwo nieszczęśliwe. Panna zawiodła się, rachując na świetną przyszłość, baron oszukał się, spodziewając wielkiego po niej majątku... gorycze domowe struły życie obojga... Zostawując jednego syna, baronowa rozstała się z tym światem.— Syn, Adam wychowany był jak najstaranniej, po pańsku, po europejsku, niby w myśli umieszczenia go kiedyś w jakiejś dyplomacji, bo ojciec tę tylko karjerę sądził syna swego godną a nieszczęściem na tę skalę, do której był nawykł Baron, jaką mierzył przyszłość syna — przyszłość nie dozwoliła mu rachować.

Majątek nie starczył na życie, bez którego czuł by się nędzarzem, trzeba było robić długi, najmniejsza nadzieja nie zapowiadała lepszej przyszłości, i Baron dochowawszy się syna, *un homme très, comme il faut* — odumarł go nie mając pociechy, by mógł właściwą zrobić karjerę. Zaszczepił mu tylko zasady swe, nader praktyczne, oparte na kilku bardzo prostych danych, nauczył go szanować siłę, miłować to co korzystne, kłaniać się nisko, nigdy możnym się nie sprzeciwiać, płynąć z wodą i wysługiwać się tym co płacą. Pan Adam, zastosowując umiejętnie ojcowskie nauki, chociaż mu nie zbywało na pewnych zdolnościach, na sprycie i krzyżach sprężystych, nigdy jednak jakoś wielkich celów żywota osiągnąć nie mógł. Dosłużył się wprawdzie tytułu Radzcy Stanu, szambelaństwa, krzyżów, pensyjki, ale ani wziętości, ani szacunku, ani nawet wiary wielkiej nie pozyskał. Posługiwano się nim tam, gdzie inni by może nie łatwo się użyć dali, po cichu... nagradzano skromnie, zapominano łatwo. — Był tem w wyższych sferach co w teatrze zowią *utilité*, do wszystkiego, a razem do niczego wielkiego. Zbytnie narzucanie się, chciwość, zabieganie, zbytnia może zręczność a chętne podejmowanie się brudów — odstręczały od niego nawet tych, co ścierek potrzebują.

Ożenił się pan Adam z pięknego imienia panną miernej fortunki, ojcowskiego majątku utrzymać nie potrafił, i został z wielkim dworem na małej wioszczynie. Kwaśny, zły, niechętny, ale nie zrażony ostatecznie, bo mu się zdawało, że syn, pełen zdolności młodzieniec, dziadowskie szczęście odziedziczy, zostanie dyplomatą, bogato się ożeni i wciśnie do arystokracji...

Zdawało się też panu Baronowi Dobińskiemu, że z Dobna Wrębowie Dobińscy pełne do tego mieli prawo. Połabrykowali sobie nawet pasy kasztelanów ze XIV w. i przerobili jednego biskupa na illustrację familijną... przez herb Wręby. Jakkolwiek majątek był szczupły, ale szlachectwo dobre, wspomnienie ministerjalnego tytułu, Baronowstwo, hrabianka W... babka; matka niepośledniego rodu, już Dobińskich stawiły na liście tych kandydatów, którym lada fawor fortuny może otworzyć wrota do świata uprzywilejowanego... pańskiego.

Choć ubogi, Baron pozorom państwa wszystko poświęcał, z syna zrobił najczystszej wody paniczyka... Wychowanie, podróże, kosztowały go ogromnie, lecz Zygmunt, Zygmunt musiał pójść wysoko... Jakoż Zygmunt w istocie i powierzchownością i talentami się odznaczał, ale głowa mu się zawróciła wcześnie. Nim się pracować nauczył, żyć umiał i długi robił jak stary. Niewyczerpany w środkach zręcznych nabywania pieniędzy, w towarzystwach miły i wielce zastosować się umiejący, wcisnął się łatwo do złotej młodzieży — i rozpoczął karjerę od salonów, w których go wcale nie źle przyjmowano. Troskliwy ojciec nie spuszczał go z oka, czuwał i karmił temi zasady jakie mu jego rodzice przekazali, dodając do nich wyrazistsze jeszcze komentarjusze. Wychowanie, obcowanie z ojcem, życie, całe niepospolitym typem uczyniły p. Zygmunta Dobińskiego.

Powierzchowność była tak pańską, że kelnerowie po gospodach tytułowali go nie już hrabią ale księciem — wyglądał na udzielne książątko. Żyć już chciał i umiał, cudzym prawie zawsze kosztem, po pańsku. Gusta miał arystokratyczne, a najpierwszym z nich było słodkie próżnowanie.

Z wielką łatwością pojęcia, nauczył się tyle w szkołach i nieskończonym uniwersytecie, iż mu to aż nadto starczyło na świetne występowanie między ludźmi, resztę pochwytał, uporządkował, dowcipem okrasił i uchodzić mógł choćby za uczonego w potrzebie. Instynktowa znajomość ludzi i zręczność wielka dawały mu przewagę i dozwalały wywierać wpływ a korzystać z niego. Egoizm ogładzony, obrachowany, mający pozory wielkiej szlachetności kierował nim ciągle... Namiętnym był, ale namiętność nigdy go dalej nie zaprowadziła, niż chciał być popchniętym. Razem z tem, doskonale grał człowieka wielkich sentymentów... Wiedział on dobrze iż na świecie z temi przymiotami jakie miał koniec końcem wybrnąć musi — śmiało więc szedł, drobne ofiary czyniąc na pozór nieopatrznie dla głównego celu. Z ojcem godzili się doskonale, chociaż ten mu jedno miał za złe, że święcąc wszystkich dla siebie i ojca spokój także złożył na ofiarę przyszłości. Trzeba zań było ostatnim groszem płacić długi, dostarczać na życie nad skalę; lecz ojciec miał ambicję, sam już wyżej nad swe szambelaństwo dójść się nie spodziewał, znosił więc chłodno wybryki syna, w nadziei iż musi dójść wysoko. Zrazu drogę oba obrali urzędową, ojciec przez swe stosunki spodziewał się go popychać, w stolicy ludzie piękni i dobrze wychowani popłacają. Wkrótce jednak trzeba było zmienić plany. Zygmunt wprawdzie pozawiązywał z kilku podżyłemi paniami stosunki serdeczne, ale te do niczego nie doprowadziły, oprócz bladości i choroby. Odżywszy nieco w podróży za granicę, zwrócił się do towarzystwa arystokratycznego we własnym kraju. Tu miał kilka szczęśliwych awanturek, ale do żadnej panny z wielkiem imieniem i majątkiem nie dopuszczono go.

Już pierwsza świeżość młodości zaczynała go opuszczać, gdy ojcu wypadła podródo Wielkopolski, w której zetknął się ze starym znajomym panem Radzcą z Zabrzezia. Nie śmiemy utrzymywać że mu ktoś wcześnie podszepnął o tajemnicach domowych, o dwudziesto dziewięcio letniej pannie na wydaniu, która dawała odkosze... o przyczynach tej mizantropji i t. p. dość że się ściślejsze zawiązały stosunki. Pan Zygmunt był na Wołyniu, próżne czyniąc starania o rękę bogatej dziedziczki domu, który potrzebował z otchłani jakichś ciemności nieodgadniętych, wyjść na widownię wielkiego świata. Znajdowano wszakże francuskiego barona za małym jeszcze ptaszkiem dla panny o trzech kluczach i kapitałach. — Zygmunt wcale zakochanym nie był, choć udawał oszalałego. Odebrawszy list od ojca, pomyślał i natychmiast wyjechał do Wierchówka...

Wierchówek z daleka wcale pięknie wyglądał — na pozorach u panów Dobińskich nie zbywało. Ojciec Zygmunta Adam, mała figurka, żwawa, fertyczna, wyprostowana, bardzo niby poważna — miał fizjognomję ministerjalną,.. a wyraz i wzrok lisi. — Z jednym synem tylko bywał otwartym i szczerym, ale wydobywając z siebie rzeczy dosyć nie piękne, umiał je pomalowywać i tłumaczyć. W synu kochał rodzinę, miał ambicję. Uściskali się w ganku. Z razu mowy o niczem nie było. — Po obiedzie szambelan wyprowadził syna do ogrodu, usiedli na ławce. Zygmuś doskonale dobył cygara i jednem z nich przysłużył się ojcu.

— Żądałem twojego powrotu, odezwał się szambelan — mam coś napiętego dla ciebie... ale najprzód, kochany Zygmuncie, powiedzieć ci muszę — powinniśmy się pozbyć wszelkich głupich przesądów. Co dziad zaczął, ty powinieneś dokonać. Szlachecką naszą rodzinę starą, trzeba wprowadzić w świat arystokratyczny. Dotąd staliśmy w progu, niemogąc go przestąpić nigdy, lub wpuszczani tylko na chwilę, z wizytą. Mamy prawa, a ty masz środki... Dziad i ojciec rozpoczęli, ty powinieneś dokończyć. Musisz być bogatym, bo bez majątku niema arystokracji. Imię jest narzędziem a pieniądz parą co je porusza... Z baronostwem dziada, z koligacjami babki i matki, już możesz stanąć w szeregu panów, ale majątek pański mieć jest koniecznością.

— A ja mam tylko pańskie długi! roześmiał się Zygmunt.

— Niestety, ja najlepiej wiem o tem westchnął ojciec... arystokracja nieustannie tworzy się nowa, a bezsilne latorośle i zastarzałe gałęzie odpadają. Rozumni protoplaści umieli się dostać, zasiąść i miejsce zdobyte obronić. Tak ze szlachty wyszli choćby nawet Lubomirscy i Potoccy... niemówiąc o najświeższym przykładzie Poniatowskich, bo ci wyleźli ze szlachty i — padli. Nieumieli sobie dać rady, choć król był spokrewniony z Zamojskimi, Lubomirskimi, Mniszchami, a nawet z Potockimi. — Tobie trzeba się tylko bogato ożenić... (C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

II.

(Ciąg dalszy).

Thorysi nie lubią uczonych służących i politykujących robotników, a pastory nie znoszą w ludzie filozofów, gdyż ich to jest zadaniem rozświecać mu ciemne drogi życia, kruszyć sumienia, utwierdzać w wierze i zapewniać wieczne szczęście.

Według ich przekonania, kościół jest najlepszą szkołą dla ludu, a kazanie najzdrowszą dla niego nauką. Wierzono temu bardzo długo, a im silniejszą była ta wiara, tem głębiej lud zapadał w ciemnotę barbarzyństwa, ohydne nałogi i dzikość. W mieście nie chodził on nawet do kościoła, nie mając czarnego surduta i cylindra na głowie, na wsi zaś nie pokazałby się w nim bez obuwia. Takich zresztą nie potrzeba w kościele wcale; oni nawet za miejsce nie mają czem zapłacić. Wszak wiecie, że kto u nas chce usiąść w kościele, ten miejsce musi sobie kupić... Położenie co dzień stawało się groźniejszem; dwie warstwy społeczeństwa musiały stanąć przeciwko sobie. Jedna w obronie tradycji i własności, druga w imię sponiewieranego człowieczeństwa, zmaltretowanej cywilizacji i w obronie bytu.

Dopiero przez niebezpieczeństwo zrozumiano zbrodnię zaniedbania, a przez strach poczuto się do obowiązku. Kuto więc nowe prawa w parlamencie, zwoływano rady, otworzono szerokie wrota prywatnym usiłowaniom.

Bojaźń stała się powodem zainteresowania i pomocy rządzących, państwu przekazano wypełnienie obowiązków, które na niem ciężyło od chwili poczucia potrzeby zaradzenia złemu. A ta od kiedy istnieje? Zajrzyjcie w tajniki sumień i zbłąkanych myśli warstwy uprzywilejowanej, oneby wam napisały smutne dzieje nienawiści i pogardy dla tych, którzy za nią przelewali krew na polach bitew — i oddawali ciężką pracę na twardej roli.

Dwadzieścia lat zaledwie upływa, odkąd sprawa oświaty stała się w Anglji ogólnem zajęciem, naglącą sprawą, kwestją do rozwiązania. W tym krótkim przeciągu czasu, Anglja dobiła się przymusowej nauki, zaprowadzając szkoły bezwyznaniowe w tym żarliwie protestanckim kraju. Rzuciła miljony ze składek prywatnych na wzniesienie szkół, wyuczyła tysiące profesorów gimnastyki i mustry — i dalej pracuje niezmordowanie. Kościoły niedawno puste, dziś pełne, a rezultaty? — będziemy mówili o nich wszędzie i zawsze.

Moja kochana Galicja nie jest wprawdzie krajem jak Anglja bogatym, lecz mimo to czy dla oświaty ludowej nie mogłaby więcej uczynić? Czy tych kilkadziesiąt tysięcy guldenów, które rok temu zebrała, są już wszystkiem co na tem polu uczynić powinna? Miljony traci na giełdzie, miljony wyrzuca zagranicą — a jednego miljona nie zebrała dla własnego dobra, dla własnej — przyszłości. Zbudźcie się ospali, ratujcie ojczyznę, bo zapóźno będzie gdy na dziejowym zegarze wybije południe.

Budzę się rano zdumiony... jaka cisza przyjemna, ani turkotu na ulicy, ani wrzasku przechodnich kramarzy, ani łomotu do drzwi listonoszów — błogo, spokojnie, uroczyście. Odchylam firanki: niebo czyste, nawet ciemnych chmur dymu z fabryk nie widać. — Spoglądam na dół: pusto... jakie straszliwe pustki, ani jednego otwartego sklepu... nikogo na ulicy. Po wczorajszym gwarze, prawdziwym tłoku przechodniów, targach, nawoływaniu, muzyce wszelkiego rodzaju, świstaniu lokomotyw, uganianiu jeźdźców i głuchym jęku ładownych wozów, — dziś wszystko zniknęło, uleciało. Londyn pochłonął w sobie własne życie i zaległ cmentarzem. Zdaje się, że jak za dotknięciem czarodziejskiej laski, po wzniesieniu w górę pałeczki przez policmena — wszystko dokoła ucichło i zgasło!

Nie wszystko! — Ciszę pustyni, kryjącej w sobie cztery miljony ludzi, przerywa poważny bas dzwonu; na to wezwanie odpowiadają towarzysze mniejszych rozmiarów a piskliwszego głosu. Z odległych stron zaledwo dolatuje brzęk współzawodników, jak akompanjament dziwny, a jednak pełen uroczystej melodji. — Londyn, za przykładem miast włoskich, wygrywa przy każdym wielkim kościele na dzwonach kamertonowo dobranych, symfonję jedynemu Bogu na niebie, odwiecznej prawdzie, choć tak odmiennie, jak tony muzyki, uczutej i pojmowanej. Musi ona tam w górze mieć skończoną harmonję i majestatyczną całość, — tak jak tu na dole, tolerancję i zgodę.

Na to wezwanie wychylają się z domów dżentelmeni ogoleni, przybrani poważnie, bo czarno, z książkami w rękach — Lady i missessy również czarno, jeżeli przebiterjanki, — kolorowo jeżeli katoliczki lub protestantki. — Przed niemi postępują nadobne missy, barwiste jak motylki,— przepasane szarfami, włosy rozpuszczone, uśmiech nadziei na ustach. — „Do widzenia jutro w kościele!“ — szumi im jeszcze w uszkach pożegnanie dnia wczorajszego. Są ładne, czyż tylko dla siebie? Młodzi dżentelmeni czekają, o tem ani wątpią, i w tem kryje się tajemnica pobożności naszych miss, chociaż o tem nie wspominają ani dżentlemenom, ani mynystrom.

— *Gud morning ser.*

— *Gud morning mdam* — odpowiadam mojej gospodyni, która przyniosła mi śniadanie, — przybranej w fijoletowy czepek i czarną suknię.

— *Najs morning* — (ładny poranek)

— *Wery najs indid* (prawdziwie piękny).

Ten przedwstęp rozmowy oznacza, że szanowna Misses ma zamiar ją przedłużyć. Postawiwszy tacę na stole, zadaje pytanie wprost zmierzające do celu.

— Czy ser jesteś zaproszony na objad?

— Nie, Mdame.

— To bardzo źle, i duma twoja zostanie ukaraną; będziesz przez cały dzień głodny!

— Dla czego?

— Bo nie tylko u żydów, ale i u katolików niczego dziś nie dostaniesz w Londynie i w Anglji całej! Władza czuwa, aby Sabat był szanowany i nie dopuszcza sprośności.

Po postawieniu żydów na pierwszym planie, a katolików na drugim — oraz po wyrażeniach biblijnych, poznałem w mojej gospodyni prezbiterjankę.

— Nigdybym się nie odważył, odpowiadam spokojnie, szukać dziś pożywienia na mieście, mając nadzieję, że pani podzielisz się ze mną swoim objadem.

— Ja dziś nie gotuję i nigdy prawie nie gotuję w niedzielę; — za chwilę wychodzę do kościoła, potem idę na objad do bratowej, — następnie rozdajemy na ulicy ustęp z Biblji, — ją go wyszukałam, a jeżeli ten nie przerazi grzeszników i nie zabije ich pożądliwych chuci, przekleństwo nad światem! — O szóstej muszę wrócić do kościoła, a o ósmej na rogu Carlton hill i St. John's wood, pomogę memu bratu spiewać psalmy, tam bowiem będzie miał kazanie. Przyjdź Ser, a zobaczysz jak twoja pycha będzie startą. Czemuś mi nie powiedział wczoraj, byłabym ci przygotowała kotlet barani na zimno i pajutę piwa.

— Duma moja ma być startą? pomyślałem po odejściu gospodyni — będę głodny przez cały dzień, bo władza nad tem czuwa! — Spojrzawszy na tacę, postrzegłem imbryk z herbatą, dwa jajka, masło, chleb i kawałek szynki — prawdziwie dżentelmeńskie śniadanie.

Jednak na cały dzień, dosyć tego do starcia mej pychy, — ale dla żołądka zamało. Ponieważ władza na tem czuwa, więc wypowiadać wojnę Anglji nie podobna, zwłaszcza gdy się jest głodnym

— Zobaczymy! zawołałem, zabierając się do śniadania z takim apetytem, jak gdyby za pięć godzin czekał mnie obfity objad.

Smutno mi: czy to wpływ ciszy i pustyni londyńskiej świątecznego dnia tak oddziaływa, że samotność tyle razy upragniona wśród zgiełku i wrzawy, jest mi dziś przykrą, budzi tęsknotę i ciężkie, pełne żalu i cichych skarg myśli?

Gdy ludność skupia się w rodzinie, ogrzewając się jej ciepłem, radując uśmiechem, odosobnione jednostki tem dotkliwiej czują chłód samotności. Pusto, a tam nad brzegiem Wisły jedno miejsce próżne przy stole.... Nie mówią, aby rozmową nie przywoływać wspomnień, wspomieniami nie drażnić tęsknoty. Milczą, aby więzić myśli i żal.... Długo i ja dumałem, aż wreszcie wyznam szczerze, zapragnąłem bifstyku, puddingu i piwa. Zapach wszelkiego rodzaju *rost*.... (pieczeni), rozchodzący się po ulicy, łechtał moje podniebienie, budząc apetyt. Wybiegłem.

Otwarte okna dajningrum*); w wnętrzach zastawione stoły, a przy nich biesiadujące rodziny.

Okrągłej twarzy, przyjemnie uśmiechnięty, czterdziestoletni mężczyzna, kraje wielkim nożem spoczywający na półmisku rostmoten **) Przy nim pulchna, biała, w białej zarzutce, młoda jeszcze kobieta, rozdziela porcje, obdzielając niemi, młodziutkie missy i przyszłych serów. Drobiazg przedstawia się w nierównej liczbie siedm, — jeszcze pięć niedostaje do apostolskiej liczby dwunastu... — miejmy jednak nadzieję.... Mister uśmiecha się do Misses, szepcąc jej gorące, a tajemnicze słowa... Misses rumieni się, spuszcza oczy, — po chwili podnosi wzrok macierzyńskiej miłości na dzieci.... Czyby szukała miejsca gdzie ma w przyszłości być umieszczone jeszcze jedno krzesło z woli Lorda***), może dla przyszłego Newtona lub Watta?... Któraż z kobiet nie marzy o sławie i wielkości swych dzieci? — ta jedyna duma robi nasze matki pięknemi, oto jeden egoizm, który je uszlachetnia, a zawsze jest ich szczęściem — może jedynem.

W drugim obok domu, na pierwszem miejscu, zasiadł białowłosy, czerstwy starzec z białą jak śnieg brodą, — swoboda na twarzy, humor na ustach, wesołe oko, — rozprawia, opowiada, giestykuluje. Tuż przy nim poważna misses w okularach, rozmarzona, szczęśliwa, bo oto przed nią najmilszy dla matki widok, — dobrane grono czerstwych mężczyzn i pięknych kobiet, — zięciowie i córki, synowie i ich żony, obsiedli stół

*) Jadalnego pokoju umieszczonego zwykle w suterynach, które w angielskich domach mają duże i szerokie okna.

**) Pieczeń barania.

***) Boga.

dokoła, słuchając w poważnem obiadowem nastrojeniu słów ojca. W rogu mały stoliczek dla trzeciego pokolenia, — pod przewodnictwem jednej z matek. Godność krajania i podziału, odziedziczył najstarszy syn.

Patryjarchalność oparta tu na szacunku, rodzina na miłości, której podstawą przywiązanie, sprawiedliwość i wolność. Ta ostatnia z rodziny przechodzi do towarzystwa, z towarzystwa do całego narodu, do zwyczajów, praw, stosunków, — i znowu wraca do rodziny, czyniąc jej węzły potrzebą swą, koniecznością pożycia, — wyrabiając w ognisku domowem siłę przyciągającą przy każdej sposobności rozproszone cząstki, w tak naturalnym stosunku, jak chemiczne połączenia.

Wolności, jakiemże jesteś dobrodziejstwem dla szczęścia narodu, jaką dźwignią dla jego cywilizacji! Wieleż jednak potrzeba starań, aby cię wypielęgnować pośród ludzi, wypracować w prawach, uświęcić w zwyczajach, uszanować i pokochać, abyś nie stając się nadużyciem, mogła być harmonją. Jakiegoż potrzeba wyrobienia w narodzie, aby cię umiał czcić i bronić,—jakiej zręczności życia, aby korzystając z praw swych nie wkraczać w obręb wolności drugiego.

Angljo! dzieje twoje są obrazem tych prac, a wolność którą wychowałaś jest twoją wielkością.

Francuzi dla równości zawsze ukamienują wolność, — a my, Polacy, jeszcześmy nie zamarzyli o równości, a już oddawna tratujemy wolność nogami. Niema kraju, gdzieby było tylu dyktatorów, małych satrapów, tyranów, — jak u nas;—nie ma kraju, gdzieby było mniej ludzi dobrze wychowanych, mimo eleganckich form w układzie i znajomości konwenansowych stosunków, bo nie ma kraju, w którymby było mniej ludzi szanujących wolność i czujących jej potrzebę—jak u nas. W Polsce indywidualizm rozwinięty do wysokiego stopnia; może tak wysoko jak w Anglji, bez świadomości atoli swych granic naturalnych; wolność osobista, lecz w celu narzucenia niewoli otoczeniu, czy to pod postacią swych opinji, czy też rozumu, zasług, wielkości, sławy, powagi, godności urodzenia, pozycji, bogactwa, — jest w zupełnej sprzeczności z pojęciem angielskiej wolności społecznej, która się gruntuje na uszanowaniu jej w drugim. I na tej to podstawie Anglicy umieją być wolni u siebie, do czego żaden naród nie jest jeszcze zdolny. (C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE
ZA DNI NASZYCH

skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy).

Artur Grottger.

I.

Naród za grzechy swoje rozdarty, później w r. 1831 pokonany ale nie złamany, jęczał w niewoli całych lat trzydzieści, doznając jedynej pociechy w poezji, w której wielcy mistrze opiewali jego dawną wielkość, zachęcając młodzież do wytrwałości i wiary w przyszłość. Dzięki tej poezji, wyrosło pokolenie gorące, które szczerzej kraj kochało, niż Polacy z czasów Stanisława Augusta i pierwszych lat epoki porozbiorowej.

Rozbudzona fantazja, krew gorąca i z mlekiem matki wyssane pragnienie wolności, niepozwoliły młodemu pokoleniu spokojną a wytrwałą pracą ojczyzny się dorabiać. Przeciw najeźdzcy zaczęła się tedy walka skryta, podziemna, za pomocą schadzek, klubów, konspiracji. Ojcowie odradzali potrząsając głowami — a synowie, nie słuchając rad, szli za własnem natchnieniem.

Walka podziemna przybrała atoli w Warszawie, prędzej niż się tego sami konspiratorowie spodziewali, kształty wybitniejsze. Nastąpiły demonstracje. Moskwa przerażona widokiem spokojnie modlących się i pieśni narodowe śpiewających tłumów, kazała wojsku wystąpić, myśląc, że sam widok broni przerazi i rozprószy patrjotów. Stało się atoli inaczej. Tłumy, jakby do ziemi przykute, modląc się, dalej śpiewały. Wtedy zastępy białego cara bojąc się, aby każdy z tych klęczących nie stał się jutro bohaterem, dały ognia do bezbronnego ludu — i krew niewinnych ofiar zbroczyła bruk warszawski.

Tym, którzy nakazali brutalną siłą stłumić budzące się pragnienie wolności, zdawało się, że odtąd niewolniczy pokój zapanuje w dawnej polskiej stolicy. Ale obliczenia znowu zawiodły. Tłumy drugi raz wróciły, i drugi raz, tylko nierównie obficiej, polała się krew nowoczesnych męczenników. A nie były to już tłumy złożone z jednej tylko warstwy społeczeństwa, lub z samej młodzieży nie mogącej pohamować patrjotycznego zapału — tym razem strzelano do całego narodu, bo tam byli panowie i mieszczanie, księża i żydzi, starcy, kobiety i dzieci. Pierwszy to raz w Polsce stanęli wszyscy jak mąż jeden, jednym ożywieni duchem; pierwszy to raz wystąpili mieszczanin z żydem na widownię czynu, i zawołali: — „Jesteśmy!“

Wieść o mordach na ulicach Warszawy lotem błyskawicy przebiegła Polskę od morza do morza i Europę całą. Polska okryła się grubą żałobą; Europa zdumiała się, a spojrzawszy dokoła siebie i widząc wszędzie tylko materjalizm zapytała na pół z trwogą:

— Co to za ludzie, którzy jak pierwsi chrześcijanie, idą dobrowolnie na stos ofiarny? Co to za naród?!

Kiedy to się działo w Warszawie w r. 1862, Artur Grottger był we Wiedniu, gdzie od r. 1853 kształcił się w Akademji sztuk pięknych na malarza — artystę.

Wrażliwa jego dusza, oddana cała czystej miłości dla sprawy narodowej, której ślady napotykamy we wszystkich drobniejszych szkicach, rysunkach i malowidłach, jakie po ten czas wyszły z pod jego ręki — odczuła te wypadki tak żywo, tak potężnie, że nie myśląc na razie o dalszych studjach technicznych, chwycił natychmiast za ołówek, aby na karton to przelać, co serce najgłębiej poruszyło.

Tak powstała *Warszawa* złożona z siedmiu rysunków.

Któż nie pamięta wielkiego pogrzebu niewinnie pomordowanych ofiar, na którym była cała stolica? Kto z nas nie przypomina sobie majestatycznego widoku, gdy panowie, wieśniacy i włościanie szli z rabinem na czele, aby tym zgodnym udziałem okazać niespożytą siłę Polski i równocześnie zaprotestować przeciw barbarzyństwu najeźdzcy, którego bagnetami najeżone zastępy, stały przerażone widokiem takiego pochodu, same nie wiedząc, co począć... Równego widoku może świat już nie doczeka.

Na pierwszym kartonie *Warszawy*, widzimy, tedy grupę z czterech izraelitów, pośrodku których idzie rabin. W świątecznych szatach, z książką do nabożeństwa w ręce lewej, a prawą lekko wspierając się ramieniu jednego z towarzyszy, naczelnik wyznawców starego zakonu w Polsce, postępuje zwolna, ale śmiało, bez bojaźni, z tym spokojem jakiego użycza świętość sprawy, której się służy, poczucie obowiązku, który się spełnić powinno. Oko jego patrzy przed siebie z poważnem skupieniem kapłana, który płacząc w duszy nad nieszczęściem ojczyzny, jest zarazem sam na śmierć przygotowany, bo kto wie, czy za chwilę Moskwa nie powtórzy wczorajszych gwałtów, i nie każe zkartaczować tych, którzy zabitym oddają ostatnią posługę. Ale on się nie cofnie, chociaż idzie pierwszy; z tym samym spokojem pójdzie naprzód wśród ognia i gradu kul, póki z drugimi nie legnie.

Takiego moralnego olbrzyma stworzył Artur Grottger w rabinie warszawskim. Towarzysze jego prawie mu dorównują pod względem spokoju, i łagodnej rezygnacji, ale mimo to on ich przewyższa siłą ducha, skutkiem czego pozostaje główną, dominującą osobą. Tak się wywiązuje z założenia tylko prawdziwy artysta. Kompozycji nie rozbija on na atomy, na tyle obrazów, ile postaci, ale kosztem innych podnosi główną, aby dokoła niej, jak dokoła osi, przewodnia myśl wirowała.

Chcąc całej scenie więcej nadać życia, artysta kazał postaci na lewo spojrzeć w bok, chociaż rabin i drugi jego towarzysz patrzą przed siebie. Jest w tem pewna rozmaitość, ale nie powiem, by ta dygresja wypadła na korzyść całej kompozycji. Widza niepokoi ten wzrok w bok rzucony, bo mimowoli postać ta robi na nim wrażenie człowieka, który popisując się swoim czynem, chce, by przed wszystkimi jego widziano.

W ślad za rabinem kroczy białowłosy włościanin w prostej siermiędze, niosąc sztandar żałobny, podtrzymywany przez dwóch ze szlachty w strojach narodowych. To treść drugiego kartonu. I ich twarze spokojne, poważne, ale podczas gdy panowie w bolesnem skupieniu w dół oczu spuścili, myśląc zapewne nie tyle o tem, co się stało, jak o tem, co jeszcze może nastąpić,— włościanin patrzy wprost, a na jego poważnem obliczu widać prócz żalu, mogącego każdej chwili rozlać się łzami, odcień groźby wypływający z charakteru ludu wiejskiego, który nie pojmując zbrodni bez kary, radby sam pomścić się krwi niewinnie przelanej.

I tu kompozytor nie zapomniał o wymaganiach prawdziwego artyzmu, i tu postać środkowa siłą swoją przewyższa obie poboczne.

Po wielkim pogrzebie, jedynym w dziejach ludzkości, którego stronę nie fizyczną ale duchową i że tak się wyrażę narodowo-moralną nieśmiertelny Artur tak majestatycznie objawił — Moskwa chwyciła się ponownie siły brutalnej i drugi raz strzelała do modlącego się narodu.

Na kartonie trzecim widzimy przeto młodego człowieka w czemerze, jak z książką do nabożeństwa w jednej ręce, a w drugiej trzymając konfederatkę, stał pod murem, po za tłumami ludu i modląc się, śpiewał z innymi. Tu kula zabójcza serce jego znalazła. Zachwiał się, z rąk wypadła mu książeczka i czapka, — prawą dłonią chce się oprzeć o mur, a lewą przycisnął konwulsyjnie do czoła. Po twarzy śmiertelna rozlewa się bladość, nogi łamią się pod konającym, ale oko nie straciło jeszcze swojej siły, a usta konwulsyjnie i na pół ironicznie rozwarte zdają się wołać:

— Mordercy! mnieście zabili, ale nie ojczyznę!

Po takich ofiarach rodzą się mściciele...

On zginął, a w domu została żona z dwojgiem dziatek. Biedna wdowa grubą przywdziała żałobę, a ukoiwszy pierwszy wybuch boleści, wzięła dzieci za ręce, i poszła do kościoła, bo tylko tam jej ucieczka, tylko od Boga może w swojem nieszczęściu spodziewać się pociechy. Weszła do świątyni pańskiej, zatrzymując się tuż przy bramie wchodowej. Ileż bolu obok prawdziwie chrześciańskiej rezygnacji na jej twarzy, ileż ufności w tem spojrzeniu, które wlepione w Chrystusa rozpiętego na krzyżu, zda się mówić:

— Panie, ja wiem że ty mnie nie opuścisz!

Nie jest to zwyczajna kobieta, ale córka ojczyzny, starożytna spartanka, która wie, że dla zbawienia narodu nie raz krwawych ofiar potrzeba. Jedno z dzieci chwyciło się matki na pół z przestrachem, a drugie rączkę przycisnąwszy do piersi, patrzy zapewne na główny ołtarz, ale z takim żalem, jakby już rozumiało wielkość poniesionej straty.

Po za tą grupą, na kartonie czwartym widzimy jeszcze w głębi kilka innych w modlitwie zatopionych postaci.

Na piątym, artysta ukazuje nam także w kościele kilka kobiet z drobnemi dziećmi, jednego starca i jednego wyrostka, wszystkich modlących się za spokój zabitych. Twarze ich przeważnie żałobne, i tylko jedna dziewczyna, klęcząc na drugim planie, składa chłopczykowi ręce do modlitwy, a energiczny wzrok jej mówi:

— Boże, pozwól, by z niego był mściciel!

Karton szósty jest dopełnieniem obu poprzednich. Scena odbywa się przed wielkim ołtarzem. Kapłan głęboko wierzący w Boga i jego miłosierdzie, ze spuszczonem w dół okiem i nadziemskim zachwytem na twarzy, błogosławi wiernych — i tę wdowę z chłopczykami, i te kobiety z niemowlętami przy piersi, i tę dziewicę szukającą mściciela i tego wyrostka, który z twarzą rozanieloną, zapatrzony w Przenajświętszy Sakrament, wonne kadzidła roztacza dokoła symbolu Zbawiciela.

Ale jaki cel miał artysta, że nas wprowadził do kościoła i tak długo tam zatrzymał?

Bo oto gdy lud Warszawy zatopiony w modlitwie skarżył się przed Bogiem, skargą cichą przez ludzkie ucho nie słyszaną — Moskwa przeraziła się modlitwy a jeszcze więcej skargi, którą w powietrzu odczuła — to też gwałcąc boskie i ludzkie prawa, posłała pijanych żołdaków do świątyni pańskiej, aby pletnią i bagnetami zamknęli usta Polakom i nauczyli ich niemego posłuszeństwa dla cara. Wpadli kozacy, znieważyli kobiety, poranili starców i dzieci, a kapłana, oderwawszy od ołtarza, wywlekli za bramy kościelne. Krew zbroczyła marmury święcone.

Nowy okrzyk grozy rozległ się po Warszawie, Polsce, Europie całej. Arcypasterz widząc zbezcześczony dom Boży, w poczuciu świętego swego obowiązku, kazał pozamykać wszystkie kościoły. I oto na kartonie siódmym, widzimy dwóch zakonników, zajętych spełnieniem woli swego biskupa. W głębi stojący trzyma mszał pod pachą, gdy tymczasem starszy na przedzie z głową świeżo obwiązaną, bo ją kozaki zranili, palcami ręki lewej przyciska bramę świątyni, a prawą ostatni raz klucz obraca. Ile majestatycznej powagi w tym prostym, niewymuszonym ruchu, ile boleści, grozy i wielkości na obliczu tego zakonnika, który niestety aż nadto się przekonał, że u wroga nie ma nic świętego. Stojący za nim towarzysz ma wyraz żałośnego smutku. Obadwa patrzą w bok, bo opodal musiał się zebrać tłum wiernych, aby być świadkiem smutnego obrzędu.

Jak na kartonie pierwszym, izraelita patrzący w bok, traci na moralnej doniosłości, tak i tu kompozycja byłaby pełniejszą, gdyby obadwaj zakonnicy, zapomniawszy na chwilę o tem co ziemskie — wlepili swoje spojrzenia w drzwi kościoła, bo właśnie w ten punkt powinne być teraz zestrzelone wszystkie ich myśli. Szczególnie twarz zamykającego mnicha podniosłaby się w religijnem skupieniu i co do siły znacznie spotęgowała.

Tu kończy się *Warszawa*.

Wytłumaczywszy pierwszą serję rysunków Grottgera, i poczyniwszy krótkie uwagi nad kompozycją przy każdym kartonie, odkładam na później ocenę tak myśli przewodniej, jak szczegółów i samej techniki. *Warszawa* łączy się z *Polonią* i *Litwą* węzłem nierozerwalnym, nie można jej przeto traktować z osobna lecz tylko w połączeniu z obiema późniejszemi serjami.

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy).

Nakoniec wyszedł Skrzynecki; koń i świta czekały na niego, bo miał zrobić jakiś przegląd. — Henryk mu zastępuje drogę i wręcza depeszę.

Skrzynecki przyjął ją z miną bardzo cierpką i z oznakami niecierpliwości; rozpieczętował, przejrzał pospiesznie, i obracając się do Szefa sztabu, Chrzanowskiego, coś cicho z nim pomówił.

— Odpowiedź wręczy Panu porucznikowi Szef sztabu —rzekł dumnie, poczem siadł na konia i pojechał.

Zdało się Fredrze, że już w krótce ekspedycję dostanie; ale gdzie tam! czeka i czeka, zagląda do Szefa sztabu kilka razy, nakoniec ten rozniecierpliwiony rzeknie w passji: — Czy P. Adjutant myśli, że my nie mamy o czem innem myśleć jak o waszym Generale! A tu godziny uchodzą i wieczór się robi. Do tego głodny, bo go adjutanci do swego objadu nie zaprosili, a markietanki nie było. Koń także stoi o głodzie, i nogami grzebie ze złości. — Noc się zrobiła kompletna, ciemna, bezksiężycowa, — a niebo chmurami się zaciągnęło. Ognie w obozie przygasać zaczynały. Nakoniec koło północy każe go wołać Szef sztabu i oddaje depesze, zalecając, żeby się spieszył.

Kłusuje Fredro przez obóz piechoty, z trudnością przychodzi mu kierować przeklętą szkapę, żeby nie podeptać leżących piechurów; ognie co raz przygasają. W tem widzi przed sobą raptem jakiś czerniący się pagórek. Szkapa chciała go przeskoczyć, zaczepia nogami, bo to był barak oficerski, zrzuca Henryka, który go wali sobą. — Oficerowie co spali w baraku, rozumiejąc, że obóz napadli nieprzyjaciele, zaczęli krzyczyć: „Do broni!" wszystko się zrywać zaczynało; Henryk, którego klacz uciekła, piechotą, bez furażerki, bo ta została w zawalonym baraku, pędzi jak szalony w stronę gdzie była poczta; konie były w rozgonie; aż ledwie klnąc, prosząc i płacząc dostał jakieś wywłoki, co na stację wróciły i dopiero koło 2giej po północy zawlókł się do Rudzienka.

Generał już nie spał; chodził niespokojny po pokoju. Jak wszedł Fredro i oddał depeszę, złajał go okrutnie, aż się Henrykowi łzy zakręciły w oczach. Nazajutrz rano zeszliśmy się przed ganek domu. Jakem już mówił, Generał nie gniewał się długo;—z wesołą twarzą, jak by nigdy nic nie było, wypytywał Henryka o sztab Naczelnego Wodza, i nie mógł się wstrzymać od śmiechu, posłyszawszy o zaalarmowaniu obozu. — Długo z tego śmiał się Umiński serdecznie.

A cóż ze szkapą? zapytałem Henryka;—Przepadła, niech ją djabli wezmą! — Ale nie prawda — znalazła się. Oficer 1° pułk. ułanów poznał ją, odebrał piechurom i Henrykowi odesłał.

Na drugi dzień przybył Francuz, Major Dumars z przeznaczeniem na dowódzcę dywizjonu w 3im Szaserów. Dumars był to tęgi, duży chłop, trochę gruby, miał na sobie mundur karabinierów francuskich, bardzo podarte rajtuzy, czapkę amarantową niby ułańską, wysoką na pół metra, a na tem wszystkiem płaszczyk kolisty sieraczkowy, dobrze przeszarzany, wiatrem jak to mówią podszyty. — Mina okrutnie gęsta, twarz duża, czerwona, zawsze na pół pijany. — Mówił językiem żołnierskim, nic w nim nie objawiało oficera wyższego, ale jak się później pokazało, był to bardzo śmiały i przytomny w boju żołnierz. Opowiadał nam, że go Niemcy obdarli tak, że nie ma za co konia sobie kupić. Henryk rozjuszony na klacz swoją, a nie mogąc się jej inszym sposobem pozbyć, darował ją Dumarsowi. Uszczęśliwiony Francuz, siadł na kobyłę, wziął ją ostro w kupę, to też nie wyszło pół minuty, zleciał z niej przez łeb na brukowany dziedziniec. Zerwał się na równe nogi, a wypiwszy tęgi haust podanej sobie wódki z manierki, siadł raz drugi, i w krótkich abcugach znowu leżał jak długi. *Voilà f!... qui est bien, j'aime un pareil cheval. Vous allez voir, messieurs, ce que j'en ferai après une meilleure connaissance."* Siadł raz trzeci i trzymał się tym razem, nie szczędząc ostróg.

Szkapa rozwścieklona, wzięła łeb między nogi i pędem leciała prosto na owe doły od nawozu, o których wspomniałem, w które wskoczywszy znikła wraz z jeźdźcem. Czapka tylko pływała po tej brudnej cieczy. — Poskoczyliśmy w tę stronę; wyciągnięto Francuza z tej *wonnej* kąpieli, a ułani po długiem szamotaniu się wydobyli kobyłę. Okropnie wyglądali koń i jeździec. — Za folwarkiem była sadzawka, tam Francuza zanurzyli, nie można było przystąpić do rozebrania go. — Złożyli się koledzy na najpotrzebniejsze okrycie ciała niefortunnego kawalerzysty, a epizod ten wszystkich przez długi czas rozśmieszał. — Nazajutrz po tej katastrofie, Naczelny Wódz przeniósł swą główną kwaterę z Miłosny do Jędrzejowa. — My zostaliśmy na miejscu; ale od tego czasu po parę razy na dzień przyjeżdżali adjutanci Naczel. Wodza z jakiemiś rozkazami do Umińskiego.

Czuliśmy wszyscy, że ruch jakiś wkrótce nastąpi, ale gdzie i jak, nie można się było dowiedzieć. Dn. 11go Maja dostał Generał rozkaz, stawienia się w Jędrzejowie. — Byłem tego dnia na służbie, więc razem z nim pojechaliśmy wielkim kłusem. — Generał poszedł do Naczel. Wodza, gdzie zastał już wszystkich Generałów oraz nieodstępnego Horodyńskiego. Horodyński, referendarz, z profesji intrygant, a bardzo zręczny człowiek, udawał przy Skrzyneckim ministra spraw zagranicznych, tumanił go korresponden-

cjami dyplomatycznemi i spowodował do wysełania niby ambasadorów. O ile pamiętam do Anglji jeździł Wielopolski, a do Stambułu Teofil Pietruski, którego, po powrocie, pewna bardzo piękna i dowcipna dama nazwała *l'ambassadeur à la porte*.

Rada wojenna trwała kilka godzin; dano objad; w oficynie zaś nakryty był stół dla adjutantów. — Zobaczywszy mnie na ganku Wł. Zamojski, z którym się dawno znałem, przyszedł i zaprosił mnie do kompanji. — Było nas razem 39 osób. Objad lichy ale obfity, gawęda zaś bardzo ożywiona. Poznałem się z wielu adjutantami, których mój huzarski mundur bardzo intrygował.

Po objedzie siedliśmy znowu na konie i pędziliśmy, ile sił koniom stało, do Rudzienka. — Generał cały wieczór do późnej nocy pracował z Szefem sztabu, w miarę wygotowanych rozkazów oficerowie d'ordonnance rozwozili je do dowódców półkowych — Generałowie zaś dywizyi i brygad do sztabu zawezwani zostali. (C. d. n.)

BAŚŃ O „ŻYDZIE WIECZNYM TUŁACZU".

Studjum według Helbiga.

Nieprzebraną skarbnicą myśli, drogocenną kopalnią dla filozofa — są podania ludowe: niby perła w konsze, spoczywają w nich zasoby prawdziwej wiedzy, nad którą wieki pracowały, trzeba je tylko umieć wydostać na światło dzienne z ciemnej łupiny baśni. Podania te mają na sobie dwojaką cechę: albo są skamieniałym okazem myśli pojedyńczego narodu, albo też rdzeń ich jest wszechludzki, a w takim razie noszą na sobie kosmopolityczną cechę. Pierwszego rodzaju podań może każdy naród wykazać niepospolitą ilość: podania drugiego rodzaju są mniej liczne, i właśnie może dla tego przywiązujemy do nich większą, niż do pierwszych wagę. Najcelniejszą legendą tego ostatniego rodzaju jest bezwątpienia pełna głębokiego mistycznego znaczenia powieść o „Żydzie, wiecznym tułaczu:" w niej zawarta jest cała bolesna epopeja człowieczeństwa, któremu Stwórca nakazał, nie wiemy czy za karę, czy w dowód łaski, ciągły postęp po skalistych drogach nauki, nie dozwalając ani spoczynku, ani wytchnienia. Legenda ta przerażająca swym posępnym kolorytem, oddawna była przedmiotem studjów i opracowań. Filozofowie zgłębiali jej tajnie, historycy śledzili zkąd powstała, poeci poświęcali jej swój talent, pragnąc jej znaczenie wyświecić. Żyd wieczny posiada bogatą literaturę w każdym narodzie, jedynie u nas dawał się pod tym względem brak uczuwać; sądzimy więc, że nie sprzeciwimy się zadaniu naszego pisma, jeżeli w krótkości historyczny rozwój tej legendy przedstawimy czytelnikom, a następnie zastanowimy się nad najgłówniejszemi jej opracowaniami. Do tego przedsięwzięcia pobudza nas niedawno publikowana praca pana Helbiga „O Żydzie wiecznym"— zawierająca wiele nowych poglądów, a która w świecie naukowym świetnego doczekała się rozgłosu. Spróbujmy nasamprzód skreślić historję powstania i rozwoju tej legendy. W Biblji, gdziebyśmy mieli wszelkie prawo przypuszczać, że znajdziemy o Żydzie wiecznym jaką wzmiankę, nie znachodzimy zupełnie nic o przeklętym Ahaswerze. Jedyne miejsce, które według zdania niektórych, spowodowało zrodzenie się tego podania, znajduje się w Ewangelji Jana, w rozdziele 21. Jezus po swojem zmartwychwstaniu, ukazał się uczniom łowiącym ryby, nad jeziorem Tyberias. Po wspólnej wieczerzy, zawezwał Zbawiciel Piotra, ażeby się za nim udał. „Ale Piotr" powiada dosłownie Pismo, „odwrócił się i ujrzał drogiego mistrzowi ucznia (Jana) postępującego za Jezusem, tego samego, który podczas ostatniej wieczerzy, leżąc na jego piersi mówił:— „Panie! któż to jest taki, kto cię zdradza?" — Zobaczywszy owego, Piotr rzecze:—„Panie! A z tym co się stanie?"—„Jezus" powiada dalej pismo, odrzekł mu na to: —Chcę, aby ten został, aż znowu przyjdę. A ciebie cóż to obchodzi? Chodź za mną!" Uczniowie zaś między sobą mówili: — „Ten nie umrze." —

Jak widzimy, chodzi tu tylko o proroctwo dane Janowi, ale o spotkaniu Jezusa na drodze kalwaryjskiej z Ahaswerem, nie ma w żadnej ze czterech Ewangelji najmniejszej wzmianki. Nawet nazwiska Ahaswerus nie spotykamy nigdzie w Nowym Testamencie. W starym zakonie służy ono na oznaczenie Kambyzesa i Kserksesa. Nie ulega zatem wątpliwości, że legenda o Żydzie wiecznym nie ma swego początku w Biblji, jakkolwiek późniejsi teologowie chcieli naciąganym sposobem, bądź co bądź, odnieść ją do Pisma Świętego.

Pierwszą wzmiankę o Ahaswerze znachodzimy w dziele angielskiego chronografa z 13^{go} wieku, Mateusza Parisiensis p. t. *Historia major*. Podług tego zapisku, miał pewien biskup Armeński przywieść do Anglji wiadomość, że w górach Araratu żyje dotychczas jeszcze człowiek, który widział Jezusa, i którego Bóg naznaczył, aby był żywym świadkiem boskości Zbawiciela, jeżeliby kto śmiał takowej zaprzeczać. Człowiek ten, nazwiskiem Cartaphilus, miał być odźwiernym pałacu Pontiusa Piłata. Gdy Jezus przechodził przez bramę, uderzył go niegodziwy odźwierny pięścią po grzbiecie, mówiąc: „Idź prędzej Jezusie, czemu się ociągasz?" Na to miał mu Zbawiciel odpowiedzieć: „Ja odchodzę, ale ty będziesz czekać, dopóki nie powrócę." Człowiek ten co 100 lat ulega gwałtownej słabości i wpada w odrętwienie. Budzi się jednak z niego, a po przebudzeniu widzi się odmłodzonym, 33-letnim mężczyzną, (Chrystus umarł w 33 roku życia.) Cartaphilus został następnie Chrześcijaninem, dał się ochrzcić Ananiasowi i otrzymał na chrzcie imię Józefa. Mieszkać ma w Armenji, jest milczącym i skrytym, prowadzi życie bardzo bogobojne, oczekując chwili, w której Chrystus przyjdzie jako sędzia świata, sądzić żywych i umarłych, i ma nadzieję, że przy ostatecznym sądzie, przebłagany wiekową pokutą Zbawiciel, napowrót przyjmie go do łaski swojej. Zbrodnię którą na Chrystusie popełnił, przypisuje niewiadomości i słabości ludzkiej, której nawet najwięksi apostołowie, Piotr i Paweł, ulegli.

W ten sposób legenda o Żydzie wiecznym przeszczepioną została z Armenji do Europy, a w niespełna dwieście lat później Ahaswerus we własnej osobie zjawił się po raz pierwszy w Europie. W Czechach miał go widzieć pewien szewc, a w r. 1542 pojawił się w Hamburgu. Pierwszym, który go tam ujrzał, był Paweł v. Eitzen, doktor teologji i biskup Szlezwicki. Przyjechawszy z Wirtembergji do Hamburga, poszedł v. Eitzen w pierwszą niedzielę po swoim przyjeździe do kościoła. Kiedy zatopiony w pobożnych rozmyślaniach słuchał kazania, postrzegł obok ambony człowieka niezwykłej powierzchowności, który mimo ostrej zimy nie miał obuwia na nogach. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, o gęstej brodzie i długich włosach, ubrany w podarte spodnie i kubrak: na plecach miał szeroki płaszcz, sięgający aż do kostek. Człowiek ten słuchał kazania bardzo nabożnie i ilekroć kapłan wspomniał imię Chrystusa, bił się ze skruchą w piersi, wydając bolesne jęki. Eitzen badał tego niezwykłego człowieka, i częścią z jego własnych ust dowiedział się, że jest Żydem Jerozolimskim, nazwiskiem Ahaswerus, a z zatrudnienia szewcem. Za czasów Chrystusa mieszkał on w Jerozolimie, i był gorącym zwolennikiem partji Arcykapłana i uczonych w Pismie, uważając Jezusa za kacerza i burzyciela spokoju publicznego. Przy uwięzieniu Zbawiciela miał czynny udział, prowadził go z żołdactwem do dworca Piłata i wraz z innymi wołał namiętnie: —Ukrzyżuj go!—Gdy Chrystus na swojej drodze krzyżowej, obarczony hańbiącem drzewem koło domu jego przechodził, wybiegł przed wrota domu z całą swoją czeladzią, niosąc swe najmniejsze dziecię na ręku, aby oczy napaść widokiem na śmierć prowadzonego wichrzyciela. Jezus zmęczony śmiertelną drogą, pragnął odpocząć chwilę na kamieniu koło jego domu, wtedy on uniesiony nienawiścią „chcąc sobie przez to sławę zjednać" odtrącił go od swego progu, rozkazując mu, aby szedł dalej na miejsce swego przeznaczenia. Jezus spojrzał na niego i rzekł: „Chcę tu stanąć i odpocząć, ale ty pójdziesz i będziesz chodził, aż do dnia ostatecznego." W tej chwili pędzony jakimś dziwnym niepokojem, położył Ahaswerus dziecko i poszedł z orszakiem krzyżowym. Był obecny przy ukrzyżowaniu i z Golgoty nie mógł [illegible] powrócić do Jeruzalem: nie pożegnawszy żony ani dzieci, ruszył w świat, który dotychczas bez spoczynku przechodzi. Według jego zdania, Bóg zachowa go przy życiu do końca świata, aby świadczył o prawdziwej wierze i cierpieniach Chrystusa, przeciw niewiernym i bezbożnikom.

Paweł Eitzen opowiadał tę historję swoim uczniom, z których jeden, nazwiskiem Chryzostom Daedalus r. 1564 drukiem ją ogłosił. Na tej treści osnuto później niemiecką książkę ludową „O Żydzie wiecznym," która się równocześnie w Lejdzie i Bautzen r. 1602 w druku pojawiła.

Sprawozdanie dra Eitzena zawiadamia nas dalej, że Ahaswerus dłuższy czas w Hamburgu zabawił, dokąd z dalekich nawet stron zjeżdżali się ciekawi, aby go oglądać i z nim mówić.

Od tego czasu coraz częściej spotykamy w pismach wiadomości o Ahaswerze, a liczba tych, którzy go widzieć mieli, rośnie niejako z każdą dobą. Co chwila gości w innem miejscu; widziano go w Madrycie, Wiedniu, Lubece, Wrocławiu, Moskwie, Paryżu, Brukseli i t. d. W Żuławach znają go pod imieniem Izaaka Laquedem; w Hiszpanji ukazywał się z czarną przepaską na czole, którą zakrywał ognisty stygmat krzyża, palący mu mózg przez czaszkę. Dawniejszych od podanych źródeł o Żydzie wiecznym nie mamy; przynajmniej nie odkrył ich znakomity badacz tej legendy — Graeser. Szczególniej uwagi godną jest ta okoliczność, że w środkowej Europie, równocześnie z legendą o Żydzie wiecznym, zjawia się i osoba Ahaswerusa, ze sprawozdania bowiem Eitzena widać, że legenda ta nie była mu znaną przed spotkaniem rzekomego wiecznego tułacza w kościele w Hamburgu. Opierając się na źródłach musimy przyjść do przekonania, że właściwą ojczyzną tej powieści jest Armenia; tam bowiem spotykamy prototyp wszystkich późniejszych Żydów tułaczów. Nie ulega dalej wątpliwości, że do Europy przynieśli ją rycerze krzyżowi: pojawia się ona bowiem u Mateusza Parisiensis

dopiero po pierwszych pięciu wielkich krucjatach. Powieść ta musi mieć swe źródło w odległych czasach i prawdopodobnie czas jej powstania odnieść należy do pierwszych wieków po Chrystusie: być może jednak, że jej autorem jest sam Cartaphylus, o którym kronika Mateusza Parisiensis wspomina. Legenda o Żydzie wiecznym aklimatyzowała się na Zachodzie i w Niemczech i stała się niejako rodzimą: ztamtąd dostała się do Polski, nie zżyła się jednak dość silnie z duchem naszego narodu. Ciekawą jest rzeczą, że o ile sobie przypominamy, nie napotkaliśmy w żadnej z naszych kronik wzmianki o pojawieniu się u nas tej mistycznej postaci. Nie naszą jest rzeczą zastanawiać się i dowodzić, o ile pojawiający się Ahaswerusy byli oszustami, przypatrzmy się raczej, jakie ta legenda przechodziła koleje w literaturze. W tym przeglądzie zajmować nas będzie szczególniej literatura niemiecka i francuska; oba te bowiem narody, a szczególniej Niemcy mogą wykazać najobfitszą ilość dzieł poetyckich, prawdziwie znakomitych, osnutych na legendzie o Żydzie wiecznym. (C. d. n.)

Kolumna.

A kiedy umrę, to na moim grobie
Postawcie strzaskaną kolumnę —
Niech ona świadczy, że duch mój w żałobie
I serce dumne,
Jak granit z wichrem, z życiem się łamały
I pod naciskiem dzikich burz skonały...

Niech ona świadczy, że duch pełen siły
Wzbił się jak wielka kolumna Trajana,
Lecz kiedy nad nim złowrogo zawyły
Wichry zawodów, przysnął — a szczyt wzniosły
Padł między gruzy, któremi zasłana
Ziemia zapomnień — i mchy go porosły...

Niewiadomy.

CHMURY.

Według L. Ratisbonna

„Les figures jeunes.“

O chmurki białe! Chmurki poranku!
Blaskiem jutrzenki złocone,
Stado owieczek, gdzie, bezustanku,
I w jaką płyniecie stronę?“
„Nas wiatr popędza, jak los twój ciebie,
W stronę nadziei, po niebie!“

„O chmury szare! Pędzące żwawo,
Rzekłbyś, huf mężów do boju,
Kędy wojenną mkniecie wyprawą,
Jakiego żądne podboju?
„My spieszym, spieszym, pozbywszy złudy,
Jak ty na walkę, na trudy!“

O chmury czarne! Wy, nad zachodem
We wdowiej, żałobnej szacie!
Kogo cmentarnym takim pochodem,
Na wieczny spokój składacie?
„Nas już, jak ciebie, życie nie mami,
Idziem więc rozlać się łzami!“

J. Chamiec.

POGADANKI.

II.

Znaną być powinna czytelnikom bajeczka o Michlu, co to razu pewnego zerwał się, wyleciał z *„Kindersztuby“* i obił Franka tak mocno, że już wszyscy wołali: Bodaj, czy z Michla nie będzie teraz człowiek! Ale Michel wrócił do *Kindersztuby* i na nowo począł bawić się żołnierzami z blachy i okrętami z łupinek orzechowych. Bajeczka ta dowcipnie wierszem napisana, znajduje się w „Kalendarzu rodzin polskich na rok 1874,“ a nim jeszcze zapotrzebowaliśmy nowego kalendarza, bajeczka poczęła przybierać postać coraz smutniejszej rzeczywistości i prawdy.

Nie tylko Michel zdziecinniał na nowo i boryka się krnąbrnie z księdzem katechetą, jak ongi imperatorowie frankońskiego rodu; zdziecinniały także i owe wieszcze duchy, które mu pomagają robić najtrudniejsze jego *pensa:* hymny na cześć białych bokobrodów „bohaterskiego staruszka“, i ody na cześć księcia kanclerza, iż nie dał się zastrzelić na śmierć bednarczykowi. Poeci niemieccy chcą być godnymi swojego Michla i postanowili zabawić się także, a mianowicie, zabawić się w parlament.

Odbędzie się tedy 27. b. m. „wiec poetów niemieckich“ w Weimarze. Prezydować będzie królewicz pruski Jerzy; — ród Hohenzollerów odznaczał się bowiem zawsze zamiłowaniem w poezji, obok realniejszych gustów, polegających na anektowaniu cudzej własności, jakoteż na fałszowaniu monety. Oprócz poetów, dopuszczone będą także i poetki — natchnione niewiasty w niebieskich pończoszkach i takichże okularach, jasnowłose dziewice z wypukłemi, paryskiemi turniurami i z zachwytem w siwej źrenicy, po 10 tal. 15 sgr. od arkusza druku, jednem słowem, prorocze kapłanki Odyna, boga lasów i piasków brandenburgskich. Celem wiecu jest: stworzyć coś idealnego, coby stanowiło równowagę z materjalnym kierunkiem stulecia — środkami zaś działania będą rezolucje, *und ein Zweck-Essen,* ma się rozumieć.

Przez niedyskrecję wiedeńskiej *Pressy* znamy już rezolucje, które mają być uchwalone. Jest ich pięć, a wszystkie z „Kindersztuby,“ prócz ostatniej, pachnącej cokolwiek kantorem.

Pierwsza skierowana jest ku potępieniu realizmu, osobliwie w wyborze przedmiotu, a następnie i w jego traktowaniu. Słusznie bowiem twierdzą autorowie rezolucji, że realizm dozwala „zręczności małego talentu“ wznieść się po nad „genjusz“ w mniemaniu publiki. I tak n. p. taki „zręczny mały talent“, jak Homer, opisując realnym sposobem trywialne rzeczy, bójki, obiady, kłótnie i miłostki zmysłowe, wzniósł się w mniemaniu publiki po nad genjalnego Purzelthalera, który wyśpiewał „die Selbstheit in der Ichheit“ i pojął swój przedmiot tak idealnie, że nawet wielki komentator Apokalipsy, uczony Wischiwaschius, dopiero w dniu sądu ostatecznego spodziewa się zrozumieć ten poemat.

Druga rezolucja zwraca się przeciw gonieniu poetów za zyskiem materjalnym, i napomina ich, aby nie należeli do żadnego „Verwaltungsrathu“, bo to się nie zgadza z godnością i kapłańskim charakterem wieszcza. Na nieszczęście, od najdawniejszych czasów poeci lubili żyć z ołtarza Muzy i często nawet wcale się z tem nie taili. Rapsodowie greccy najwdzięczniej opiewali bohatera, który ich obdzielił najlepszym kąskiem wieprzowiny—świadkiem Demodokos. Sam Anakreon pieczeniarzył cokolwiek u Polykrata, a zajście słynnego pieśniarza perskiego z Szachem z powodu niedopłaconego honorarjum, zbyt jest znane, bym je potrzebował wspominać. Co więcej, lord Byron, par Anglji, targował się zawzięcie z Murrayem o pieniądze w owych rymach, które później nasz Słowacki tak wiernie naśladował przemawiając do Eustachego Januszkiewicza;*) a p. Mosenthal zrzecze się raczej swojego miejsca na wiecu wejmarskim, niż tantiemy od swoich dramatów.

Trzecia rezolucja żąda, ażeby poeci krytykując dzieła kolegów, nie kładli swoich nazwisk pod recenzjami. Czyliż bezimienność nie jest płotem, z poza którego padają zwykle najbardziej jadowite pociski? Postanowienie to, uświęcające anonimy, ma służyć do utrzymania ducha koleżeńskiego między poetami, a osiągnie skutek wprost przeciwny. Wszak z otwartą przyłbicą, dotychczas tylko teologowie i gramatykarze częstują się nawzajem grubjaństwami — wszystkim zaś innym piszącym podpis nakazuje pewną miarę w wycieczkach krytycznych, nikt bowiem nie chce uchodzić publicznie za człowieka nieokrzesanego.

Najpiękniejszą atoli z wszystkiego jest czwarta rezolucja, która zasługuje na to, bym ją powtórzył dosłownie. Oto jej brzmienie:

„Odpowiada to odbudowaniu wielkiego państwa niemieckiego, by wznowiono także piękny zwyczaj koronacji wieszczów przez poświęcony majestat cesarza niemieckiego.“

Co dziesięć lat tedy zjeżdżać ma do Weimaru *der Olle Wille,* a po jego śmierci *der junge Fritze,* i z jego poświęconych rąk proponowany przez kongres „poeta laureatus“ otrzymać ma wieniec, poczem oczywiście będą go tytułowali w dziennikach: „der Dichterfürst N. N.“ Gdybym był uczestnikiem wiecu, zaproponowałbym poprawkę do tej rezolucji. Oto, ze względu na to, iż Niemcy w przeciągu każdego dziesiątka lat wyprodukują niezawodnie więcej jeniuszów poetycznych, niż jednego, nie zawadziłoby, aby „poświęcony majestat“ obok *Dichterfürsta* mianował kilku *Dichtergrafów,* kilkunastu *Dichterbaronów,* kilkudziesięciu *Dichterritterów* i kilkuset prostych *„Dichterów von.“* Nieobdarzeni żadnym z tych tytułów, mieliby prawo do nazwiska swojego dodawać: *bürgerl. Dichter,* tak jak się mówi: bürgerlicher Bäckermeister. Ręczę, że zaraz po pierwszym kongresie pojawiłyby się w Wiedniu bilety wizytowe z napisem: *„Eduard Dichtergraf von Mauthner“* albo *Isaac Dichterbaron von Jajteles,* podczas gdy autor „Ahaswera w Rzymie,“ „Dantona i Robespierra“, „Króla Syonu“ i t. d, pisaćby się musiał: Robert Hammerling, bürgerl. Dichter.

W piątej nakoniec rezolucji zgromadzenie wieszczów zwraca się do parlamentu niemieckiego z pokorną prośbą o wyznaczenie sowitej, do pięciu miliardów z r. 1871 godnie zastosowanej nagrody pieniężnej za najlepsze epos, najlepszy dramat i najlepszy romans historyczny. Nagroda ta ma być przyznawaną autorom przy sposobności każdej koronacji laureata, cała zaś uroczystość, zdaniem twórców projektu, odwróci naród niemiecki od wstrętnego widoku gonienia za zyskiem i za używaniem roskoszy światowych, które to

---

*) Zwrotki Słowackiego, z których każda kończy się wierszem: „Mój Eustachy“ powtarzane były niedawno w dziennikach z powodu śmierci ś. p. Januszkiewicza. Dla porównania, oto dwie zwrotki Byrona:

For Orford and for Waldegrave,
You give much more, than me yougave,
Which is not fairly to behave,
My Murray.
Because if a livedog', tis said
Be worthalion fairly sped,
A live lord must be worth twodead.
My Murray.

gonienie „zatruło szczęście i ducha tego narodu.“

Zkąd się wziął ten ostatni, rozumny frazes w całem tem szurum-burum poetycznem, to jest dla mnie zagadką. Lecz znachodzono już resztki przedpotopowych słoniów w lodach sybirskich, a kości renów w południowej Francji. Natura lubi takie igrzyska — sam znałem żyda, którego zrujnował obywatel ziemski i zbogacił się jego kosztem.

* *
*

Mówiliśmy dość długo o niedorzecznościach zagranicznych, pomówmy trochę o krajowych. Do najdawniejszych, i najtrudniejszych do wykorzenienia objawów w tym rodzaju, należy u nas używanie języka francuskiego w towarzystwie wyłącznie polskiem, połączone z przywidzeniem, jakoby władanie tym językiem było przywilejem pewnych klas społeczeństwa i jakoby ktoś niżej urodzony nie mógł władać nim równie dobrze, albo i lepiej. Przywidzenie to było już nieraz srodze ukaranem, i wprowadzało paplących po francusku w niemały ambaras. Mimo to zły nałóg nietylko nie zniknął, ale owszem rozszerzył się jeszcze bardziej w najnowszych czasach, zwłaszcza odkąd Francuzi pielgrzymkami do Paray-le-Monial i do Lourdes zdobyli sobie sympatję i szacunek pewnych sfer w naszym kraju. Kto wie, czy to długo potrwa, właśnie bowiem katolicy angielscy wybierają się tłumnie na pielgrzymkę do grobu św. Edmunda w Pontigny, i mogą przeto angielskie *miss* zrobić w kołach naszej *gentry* niebezpieczną konkurencję guwernantkom francuskim. Kto jest nieczułym na roskosz odmawiania różańca po angielsku, nie zrozumie zapewne powodów mojego przypuszczenia, ale powtarzam, że kto wie, co będzie — zwłaszcza gdy francuczczyzna nadto już się rozpowszechniła. Doświadczyły tego świeżo, ku niemałemu swojemu upokorzeniu, znowu dwie Wołynianki, wracające z zagranicy. Nie wiedziały, że w Galicji wolno jest nawet nie-szlachcicowi umieć po francusku, i nie wiedziały także, że obowiązek powszechny służby wojskowej na niejedne wcale inteligentne plecy włożył mundur żołnierski. Przy wsiadaniu do wagonu we Lwowie, postrzegły ku wielkiemu swojemu zgorszeniu, że wraz z niemi zająć ma jedno i to samo *coupé* jakiś żołnierz. Zgorszeniu temu dały wyraz rozmaitemi wykrzyknikami, comme de raison, francuskiemi, z pomiędzy których szczególnie przydomek „rustre“ niemile dotknął obrońcę ojczyzny. Gdy więc obydwie damy zdecydowały się nakoniec przedstawić mu po polsku, aby sobie poszukał innego miejsca, uparł się nie rozumieć i tego języka, i rozwalił się wygodnie naprzeciw arystokratek wołyńskich, mrucząc z pod nosa:

— Ja toho ne rozumiju!

Damy spazmowały jeszcze czas jakiś, ale widząc, że trzeba pogodzić się z losem, wszczęły inną rozmowę. Były to dwie młode mężatki, które im mniej zebrały doświadczeń w pożyciu małżeńskiem, tem chętniej zwierzały się z nich sobie nawzajem, a że język Pawła de Kock nadaje się niepospolicie do zwierzeń tego rodzaju, więc nikt zapewne nie zechce, bym powtarzał po polsku to, czego się nasłuchał ich towarzysz podróży — ochotnik jednoroczny, i w dodatku, hrabia. Ponieważ zaś pewne tajemnice nawet w starszym wieku nad miarę obudzają ciekawość, i ponieważ ochotnicy jednoroczni miewają zwykle nie więcej jak dwadzieścia lub 21 lat, więc łatwo sobie wyobrazić, jak pilnego ta spowiedź miała słuchacza. Zaledwie zdołał utrzymać się w swojej niemej roli *d'un rustre* i coraz więcej miał ochoty być grzecznym. Naraz, gdy się wyczerpały już wszystkie ciekawe przedmioty rozmowy, jedna z dam ziewnęła i zawołała:

— O mon Dieu, que c'est donc ennuyeux, ce voyage! Ne vous rappelez-vous pas, à quelle heure le train arrive à Brody?

— Ah, je ne sais pas; à quatre heures, je crois.

— A trois heures et demie, madame — odezwał się nasz ochotnik, mimowoli, czy umyślnie, tego nie wiem.

Obydwie wołyńskie francuski oniemiały z przerażenia. „Le rustre“ rozumiał po francusku, a co gorsza, słyszał całą ich poufną rozmowę! Nie zostawało nic, jak wyskoczyć oknem z wagonu, cóż, kiedy pociąg pędził jak szalony. Rezygnacja była więc ostatnią ucieczką przez całą godzinę, którą jeszcze trwała podróż, zmieniona w okropną torturę. Czy nauka skutkowała, to się pokaże przyszłego roku, gdy Wołyń pojedzie znowu do wód zagranicznych.

J. Lam.

(Za Orforda i Waldegrave, dałeś pan nierównie więcej, niż mnie dałeś, a to wcale nie piękne postępowanie, mój Murrayu. Jeżeli bowiem, jak mówią, żywy pies wart tyle, co lew uśmiercony, to żywy lord musi być wart tyle, co dwóch umarłych, mój Murrayu.) P. a.

TEATR.

(Nowy zwrot w repertoarzu opery; „Fra Diavolo“ — „Angot“ — „Protegujący i Protegowani“.)

Po długiej „pauzie artystycznej“ spowodowanej sezonem letnim, poczęła teraz dyrekcja nagle rozwijać zapalczywą energję w wystawianiu coraz to nowych utworów muzykalnych i dramatycznych, objawiać ruchliwość, która wszystkich przejmuje podziwem i grozą tajemniczą a recenzentów przywodzi do rozpaczy i napełnia ich przekonaniem, że postępowanie to dyrekcji jest tylko podstępnym zamachem na ich spokój i powagę krytyczną... Biedacy znajdują się w położeniu chartów, którym naraz kilka zajęcy z pod nóg pomknęło. Którego z nich pierwej gonić?... W skutek tak wyjątkowego położenia, zdarza się niektórym z nich pisać rzeczy, których nie napisaliby pewnie, gdyby im pozostawiono więcej czasu do namysłu i rozglądnięcia się po podręcznikach i encyklopedjach, wydanych dla ratowania powagi „fachowych“ krytyków... Lecz co nas to obchodzi, że n. p. *Białej Damy* nie napisał Auber, lecz Boieldieu, albo że tenże Boieldieu nie mógł być następcą Aubera, skoro był jego poprzednikiem a nawet nauczycielem — zostawmy to sumieniu recenzentów!...

W ciągu jednego tygodnia wystawiono w operze tutejszej *Fra Diavolo* Aubera i *Mademoiselle Angot* Lecocq'a, a wkrótce wystawić mają *Napój miłośny* Donizettego. To dowodzi, że w wyborze repertoarza opery zanosi się na zwrot rozsądny i zniewala nas do przyznania, że dyrekcja czynem uprzedziła uwagi, jakie w tej mierze od dawna mieliśmy jej do zrobienia. Opera lwowska znajdowała się w ostatnich czasach na fałszywym tropie, kusząc się o przedstawianie utworów takich, jak „Hugenoci“, „Afrykanka“, „Robert Djabeł“, wymagających sił pierwszorzędnych, na jakie nie stać biedny nasz Lwów. Chciano tem podnieść powagę tutejszej opery, a tymczasem podkopywano ją właśnie coraz bardziej. Opery te pochłaniały wysokie sumy, rujnowały przedsiębiorstwo a wykonaniem swojem niezadawalniały nikogo, rodziły nieufność i zniechęcenie. Rozsądek każe we wszystkich rzeczach liczyć się ze środkami, a środki tutejszej opery każą ograniczyć jej działalności do zakresu mniej świetnego, ale za to tem pewniejsze i trwalsze rokującego powodzenie. Z czasem może przyjść i tamto. Opera lwowska posiada śpiewaczkę koloraturową, we włoskiej kształconą szkole, jaką jest pani Jakowicka i tenora lirycznego, o słabym lecz sympatycznym głosie, jakim jest p. Zakrzewski; nie jest zaś w stanie utrzymać s t a l e prymadonny ani tenora dramatycznego. Widoczną przeto jest niemożliwością na teraz przynajmniej, dawanie oper wielkich, dramatycznych. Niemożliwość ta stała się w ostatnich czasach bardziej jeszcze niemożliwą wskutek straty, jaką opera lwowska poniosła świeżo w p. Köhlerze, nieoszacowanym barytoniście. Nie wchodząc w zakulisowe powody, jakie skłonić mogły dyrekcję do tak nieszczęsnego kroku, jak oddalenie p. Köhlera, trudno byłoby znaleść dla postępku tego dość słów nagany, od której wstrzymujemy się na teraz w nadziei, że dyrekcja sama uzna swą przedwczesną porywczość i nawiąże napowrót stosunki z p. Köhlerem, który znów ze swej strony, dla miłości sztuki polskiej, której tak chlubnie poświęcał się długie lata, powinienby nawiązanie takowych dyrekcji ułatwić...

Wracając do rzeczy, oświadczamy krótko, iż utworzenie doborowego l e k k i e g o repertoarza uważamy za niezbędną dla opery lwowskiej konieczność. Verdi, Donizetti, Auber, Flotow, Nicolai, Rossini, Herold, dostarczyliby dość materjału, w którego wyborze należałoby szczególnie uwzględniać utwory, które w danych warunkach dadzą się w całości najlepiej przedstawić, jak i te, które dla swej wewnętrznej w a r t o ś c i na to zasługują. Konstatujemy z przyjemnością i uznaniem pierwszy krok dyrekcji w tym nowym kierunku, który, zdaniem naszem, zdoła operze tutejszej zdobyć znaczenie i wartość rzetelną, zapewnić jej byt i uwolnić ją z pod zarzutu humbugu...

Przedstawienie „Fra Diavola“ należało do najszczęśliwszych dotąd pomysłów dyrekcji. Opera ta znana każdemu u nas bądź w całości, bądź w wyciągach, z której pojedyńcze arjetki od lat 30 wygwizdują chłopaki uliczne, zachowała mimo to dotychczas urok dla każdego amatora „lekkiej“ muzyki. Obok „Niemej z Portici“ jest ona najpopularniejszym z utworów Aubera. Ale do „Niemej“ ma się ona jak strumyk swawolny pluszczący po kamieniach, — do Niagary... Auber należy do owej szkoły francuskich muzyków z pierwszej połowy bieżącego stulecia, którą zrodził wpływ Rossiniego w połączeniu z dawnemi tradycjami oper wielkiego stylu. Główną jej charakterystyką jest właściwie brak jednolitego stylu; zmysłowość obok gonienia za charakterystycznością, lekka koloratura obok poważnej deklamacji dramatycznej, mięszanina pełna wdzięku, gracji, lekkości, mile drażniącej rytmiczności, przyjemnej i łatwej spiewności i niezaprzeczonego talentu. Wszystko to można znaleźć, podziwiać, ganić i krytykować we „Fra Diavolu.“ Pojedyńcze tony trzepocą się tu jak swawolne amorki ze strzałkami dowcipu i kokieterji — z uśmiechem lekkozmysłowym na usteczkach, tak, iż nieraz możnaby sądzić, że jeźli miejscem urodzenia tych skrzydlatych nicponiów była siedziba nieśmiertelnych bogów, natomiast miejscem ich wychowania mógł być *Bal Mabille...* Auber posiada dziwy dar łączenia ze sobą w sposób pełny elegancji i smaku filigranowych cacek melodyjnych... Wiele życia i rozmaitości dodaje im zręcznie użyty żywioł charakterystyczny, za którym daremnie wyglądałby stęskniony słuchacz, błądzący po melodyjnych Saharach starych oper włoskich... „Fra Diavolo“ wypadł na tutejscej scenie zupełnie zadowalniająco.

Pomijam ocenę pojedyńczych partji, w czem uprzedzili mnie już „specjaliści,“ rozporządzający tak obfitym zasobem fachowo-muzycznego żargonu, na jaki mnie nie stać... Ci panowie, w swoich uczenie niezrozumiałych elukubracjach krytycznych, zdają się hołdować tej samej zasadzie, jaką wyznawały u nas do niedawna osoby, mające pretensję do „wyższego tonu“: iż przed służącymi, tudzież w lokalach publicznych, jak cukierniach, w wagonach i t. p. należy rozmawiać zawsze po francusku — *pour que les „gens“ ne comprennent pas* — tymczasem wskutek postępu cywilizacji i nieszczęsnego rozpowszechnienia fortepianów, owa pozioma *plebs* rozumie się dziś na muzyce tyle właśnie, ażeby módz się poznać na całej płytkości ich uczonej gadaniny, naszpikowanej „fachową“ siekaninką...

Dn. 8 b. m. przedstawiono po raz pierwszy okrzyczaną operetkę Lecoq'a *Mademoiselle Angot.* Nie myślę wdawać się tu w krytykę, której w ogóle tego rodzaju utwory nie podlegają. Jest to sobie muzyczka zabawna i wesoła, o lekkim kolorycie ludowym, albo

raczej mieszczańskim, przy której możnaby zapomnieć, że istniała kiedykolwiek w muzyce poezja... Wpływ Offenbacha, z pod którego Lecocq w najnowszych utworach swoich miał się wyzwolić, jest tu jeszcze dość widocznym. Dość usłyszeć „chór spiskowców“ w akcie 2. ażeby się o tem przekonać. Zresztą w Offenbachu obok wyuzdanej zmysłowości znaleźć można często głębszą satyrę. W Lecocq'u nie ma wprawdzie zmysłowości, ale niema i satyry — jest tylko lekka, zabawna trzpiotowatość; są tam dowcipne arjetki w kupletowym stylu i rozmaite efekta dość pospolitej natury. Krótko mówiąc, jest to operetka zabawna i posiada nawet tekst wcale niedorzeczny i płaski, który dość zręcznie przepolszczono. Wymaga także koniecznie świetnej wystawy, a w tej mierze zrobiła dyrekcja co mogła. Publiczność przyjęła tego Benjaminka nowoczesnej Muzy francuskiej dość ozięble.

* * *

Czuję, że poświęciwszy cały artykuł niniejszy muzyce i operze, a nie wspomniawszy ani słowa o dramacie, mógłbym ściągnąć na siebie zarzut stronniczych sympatyj, a nawet protekcyjności, tej okropnej wady, przeciwko której napisał p. Adam Bełcikowski najnowszą swą komedję p. n. *Protegujący i Protegowani*, przedstawioną 2. b. m. po raz pierwszy na lwowskiej scenie. Muzo komedji polskiej! bogini ze śmiechem szczerości na ustach i z miłością w sercu, gdzieś ty? Czy wraz z Fredrą, twoim kochankiem, i ty usunęłaś się w zacisze domowe, patrząc zdala z dobrodusznym, pobłażliwym uśmiechem na dzisiejszy zgiełk i bój nowych namiętności, nowych haseł, nowych głupstw i śmieszności, poszturkujących się nawzajem, z któremi ty nic już nie masz wspólnego?... Szlachcic błękitnooki, jowialny facecjonat, sangwinik bez kropli żółci — taki był genjusz komiczny Fredry! Śmiał się całem gardłem i całem sercem, i śmiech jego trafiał w serce, ale go nie ranił... A jednak na dnie jego leżała często myśl wielka, głęboka, ogólno ludzka, która przybrała tylko kontusz i minę polskiego szlachcica, aby tem zrozumialszą, tem przystępniejszą stać się dla społeczeństwa, którego wady i śmieszności z taką dobroduszną smagała miłością. Inne czasy, inne ptactwo!... Społeczeństwo nasze, któremu nagle nadano nowe formy bytu, znalazło się w położeniu niedorostka, któremu po raz pierwszy dano... spodnie ubranie, ów symbol męskości, a który nie wie co z niem począć i którą część ciała niem przyozdobić, aż w końcu zasadziwszy je przez głowę, woła że jest już wielki i dorosły, i każe podziwiać każdemu jak mu w tym nowym stroju — do twarzy!... Jakiż to przedmiot wdzięczny a niewyczerpany, dla komedjopisarza!... Jakiż to skarbiec komizmu leży w tych naszych „głupich latach,“ „chmurnych i durnych“ jak powiada Mickiewicz!... To pewna, że skarb ten leży dotychczas nienaruszony, i że żaden ze współczesnych komedjopisarzy go nie wynajdzie... Brakuje im snać owej czarnoksięskiej latarki: wyższej myśli, głębszego poglądu, który stanowi rdzeń prawdziwej satyry. Widzą tylko f o r m y śmieszne, kształty karykaturalne — chwytają je w lot, karykaturują sami jeszcze bardziej, zadowoleni łatwo zdobytym efektem, nie troszczą się o t r e ś ć, o myśl, o naukę, jaką kryją w sobie te śmieszne i przez nich ośmieszane formy wad społecznych. Nie ma dziś w y ż s z e j komedji, nie ma jej w treści, ani też we formie artystycznej, jaką posługują się współcześni polscy komedjopisarze. Dawny c z y s t o - p o l s k i, rubaszny nieco, ale serdeczny charakter fredrowskiej komedji, ustąpił dziś miejsca ciasnemu l o k a l i z m o w i, pełnemu płaskiej trywialności, w kurtce pajaca, pożyczonej od *hanswursztów* niemieckich lub francuskich „*farceur'*ów,“ przerobionej tylko krojem samorodnym, ze samorodnemi łatami... Fredro syn, który odziedziczył po ojcu wiele zalet formy i ducha artystycznego, zapewniających powodzenie sztukom jego w kraju a nawet zagranicą, na polu w y ż s z e j komedji dowiódł, iż czuje się w o b c y m sobie ż y w i o l e... Żałować przychodzi, że na podobnie obce sobie pole zabłąkał się także autor tak zaszczytnie z innych prac swoich znany i ceniony, jak p. A. Bełcikowski. Widać, że i w literaturze, szczęście, nawet p r o t e g o w a n y m swoim, nie na każdem polu udziela zarówno swej protekcji...

Z tytułu komedji „Protegujący i Protegowani,“ można się było spodziewać, że autor uderzy w niej na tę tradycjonalną słabość naszą, która znalazła wyraz swój już w staropolskiem przysłowiu, datującem się jeszcze z czasów Rpltej: „czapką, papką i solą“ i t. d., na tę naszą z dawna znaną patrjarchalną skłonność załatwiania spraw publicznych dobrodusznie, po sąsiedzku, lub z ciasnego stanowiska osobistego interesu, osobistych sympatyj lub nienawiści, kierowania się w nich względami parenteli, sąsiedzkiej przysługi, pańskiej protekcji, w skutek czego, jak dawniej tak i teraz, ważne godności publiczne dostają się często w ręce ludzi niedołężnych, lub nieuczciwych, z krzywdą rzeczywistej zasługi i rzetelnych zdolności. Tymczasem autor, zamiast użyć tego tak wdzięcznego tła, które utworowi jego byłoby prócz tego nadało pewną s w o j s k o - c h a r a k t e r y s t y c z n ą a tem samem bardziej interesującą dla nas barwę, nadał sztuce swej jakieś tło bezbarwne, potworzył takie nieokreślone, blade i szablonowe postacie, jak radzca Pamulski, (niewiadomej jakiejś dykasterji „radzca“), których cały komizm polega na karykaturalnej przesadzie. Cała sztuka wygląda w ten sposób, jakoby satyra na protekcyjność w r z ą d z i e [zważywszy jeszcze owe 40 „*belobungsdekretów*“ Czubuta!...] Satyra taka, chybiona zresztą przez swoją karykaturalną przesadę, już samym przedmiotem swoim nie mogła obudzić wielkiego zajęcia... To samo tyczy się także i jej przeprowadzenia, którego szczegółowy rozbiór lepiej, gdy pominę... Szczęśliwszym nierównie, niżeli radca Pamulski typem, jest panna Domicela, dewotka z zaszarganą przeszłością, która grzechami młodości okupiła sobie znaczenie i pewien wpływ w sferach protegujących i ze swej znowu strony, z sercowego popędu, przelewa tę protekcję na niejakiego Grzywkę, który z kredencerza wyszedł na guwernera, co nawet w Galicji teraz już bardzo rzadko się trafia... Szablonową na wskróś postacią jest p. Andrzej, wzór Katona, starającego się o „posadę“, a trudniącego się specjalnie ekonomją polityczną, czem jednak nikomu nie imponuje... Słabą również postacią jest Marynia, a mało wyzyskaną ale dość wdzięczną Staś łobuz. W ogólności wszystkie te typy odznaczają się tym samym brakiem oryginalności, jakiej tak troskliwie wystrzegają się dzisiejsi nasi komedjopisarze. Zawikłanie, które przychodzi trochę za późno, a polega na tem, że z jednej strony Pamulski, protegujący dotychczas Stasia, widzi się wpływem tajemniczego hrabiego za pośrednictwem Domiceli zniewolonym przelać swoją protekcję na Grzywkę, a z drugiej znów strony Czubut swoją protekcję na znienawidzonego przez siebie Andrzeja, zawikłanie to byłoby dość szczęśliwem, gdyby był autor potrafił lepiej takowe wyzyskać. Tak zaś, po kilku dość rozwlekłych i dość niepotrzebnych scenach, czuje się zniewolonym przystąpić do ostatecznego rozwiązania, którego dokonywa za pomocą *coup d'état*, zbyt natarczywie przypominającego „Tartuffa“ Molierowskiego, a wykonanego przez Marynię, po której trudno się było przez cały ciąg sztuki spodziewać czegoś tak dyplomatycznego.... Rzecz kończy się pognębieniem niewinnego zresztą Grzywki, a ku zadowoleniu i satysfakcji prawdziwych winowajców, którzy oczywiście nie widzą potrzeby myśleć o poprawie na przyszłość...

Niektórym artystom (zwłaszcza p. Dobrzańskiemu) muszę zarzucić upodobanie, z jakiem karykaturują postacie same przez się zbyt już karykaturalne. Ścisła p r z e d m i o t o w o ś ć jest najwyższą zaletą komizmu. Zresztą przedstawienie wypadło ze wszech miar starannie i skończenie. Na wyszczególnienie zasługiwała gra p. Linkowskiego (Czubut), p. Kwiecińskiego (Staś) i p. Dębickiego (Grzywka). Pani Linkowska również zadowalniająco wywiązała się z roli Domiceli, lubo role tego rodzaju nie leżą właściwie w jej zakresie. Blada rola Maryni znalazła w pani Terenkoczy sumienną wykonawczynię. Fach „kochanków“ nie jest specjalnością p. Terenkoczego, który bywa w nich zazwyczaj zbyt ckliwie patetycznym, a rola takiego kochanka, pełnego katońskich zasad i ekonomji politycznej, jak Andrzej, szczególnie się do tego nadawała.

Ponieważ nie mamy nadziei, 'by na scenie naszej pojawiły się w przyszłym tygodniu jakie nowe utwory, a poruszanie rzeczy starych i dawno znanych, byłoby nużącem nie tylko dla mnie, lecz i dla czytelników, postanowiłem przeto zobaczyć się z nimi dopiero za dni czternaście. Może do tego czasu zbierze się bogatszy materjał.

Michał hr. Dzieduszycki.

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. K a r o l a L i b e l t a.

(Ciąg dalszy.)

(Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego.) Nie podobna, przeczytawszy ten serdeczny ustęp, obrócony modlitwą do Boga, odmówić autorowi czysto religijnego namaszczenia. Tym samym charakterem odznacza się cały jego dział teologiczny. Nie ma tam ani szyderstwa, ani prześladowania. Jest i owszem dla kościoła rzymsko-katolickiego, wypowiedziana największa życzliwość, chociaż wykazana i niemożliwość pogodzenia postępu naukowego ze stagnacją religijną. „Religja“, jako związek Boga i człowieka, jest podścieliskiem wszystkich wiar i uorganizowanych kościołów. Jest ona jednością w tej rozmaitości. Podobnie jest i teologja „ogólna“, wywiązująca się z wszelkich wyznań, dogmatów, hierarchicznych urządzeń, i obrządków kościelnych. Co więc autor o teologji wypowiada, jest każdej wiary właściwością, a nie ściąga się bezpośrednio do tego lub owego wyznania. „Otóż tak pojęta teologja stawi nas od samego początku na niedostąpionej skale. Prawda teologiczna ukaże tu głowę nad obłoki i żadna z wiar, najmniej zaś u nas panująca, której powinno się powszechną cześć, obrażoną nie będzie“. (T. I. str. 117.)

Wszelako odsłonienie zasad i prawd teologicznych, jest na tem stanowisku empiryczne, to jest takie, jakie się istotnie w naukach kościelnych przedstawia. Autor, dla oddania rzeczy, właściwych każdej innej wierze, posługuje się dla tego wielekroć słowami i uwagami księdza Zygmunta Goliana z Krakowa i ojca Ventury z Rzymu, nie wdając się ani w rozbiór, ani w krytykę przedstawionych przez te powagi duchowne zasad. Gdziekolwiek się zaś niekorzystnie wyraża przeciwko „klechom“ — choć wyraz ten w poważnem piśmie uważamy za niewłaściwy — ma na myśli kapłanów i duchownych każdej innej wiary, a więc nietylko braminów, bonzów i derwiszów, ale i duchownych chrześciańskich wyznań.

Tak opracowaną jest w propedeutyce logicznej i „metafizyka święta i loika święta i polityka święta“. Mają one na celu przygotować kandydata teologji i przekonać go, że przez objawioną światłość niebieską, wypowiedziała się przedwieczna, istna i pełna prawda; okazać mu jakie są cechy i znamiona tej prawdy; nareszcie nauczyć go, żyć i działać w duchu tej prawdy. Na ten sam sposób przedstawia autor teoretycznej część teologji: bibliognozję, dogmatykę i etykę świętą, oraz działy teologji praktycznej: to jest nauki o służbie kościelnej, o rządzie kościelnym i o życiu kapłańskiem. Zakończają ten obszar wiedzy ludzkiej: dzieje dogmatów, archeologja święta i dzieje kościoła.

Jest to umiejętny całokształt, wielki i przemądry, istny panteon dawnych pogańskich Rzymian, którzy w stolicy ogromnego swojego państwa dawali gościnę wszystkim wiarom i wszystkim bogom zhołdowanych ludów. W końcowych swoich uwagach, autor przyznaje katolicyzmowi: „iż się w nim wymówiła nauka Zbawiciela naszego, najczyściej i najprawdziwiej“. (T. 1. str. 176); wynosi chrześcianstwo ponad wszystkie inne wyznania, jak mahometańskie, bramińskie i inne; ale ostrzega i słusznie, że teologja ogólna, to żadna wiara w szczególności; nie dotyka się tu wcale żywego Boga naszego, ani nicuje

się Zbawiciela naszego. „Dlań niesiemy i składamy najrzetelniejsze uwielbienie“. W duchu teologji wszelakiej tkwią zalety, ale i wady. Do pierwszych należy, że każda dogmatyka, choćby najbardziej pogańska, podaje światu Boga „osobistego“. Zasłania więc ludzkość od ateizmu i panteizmu, które źle zrozumiana oświata zwykła ze sobą przywodzić. Wśród rozliczności rozumów ludzkich, podaje coś statecznego i trwałego, co ludy całe jednym jednoczy węzłem. Nareszcie moc wiary podnosi umysły i wiedzie do dzieł wielkich. Wiara jest mistrzynią rzesz. Ona wychowywała i wychowuje wszędy człowieczeństwo. Bez niej ludy byłyby trzodami zwierząt drapieżnych.

Atoli fanatyzm religijny, nienawiść różnowierców, prześladowanie filozofów i umiejętności; harce duchów, czary i różne zabobony; ofiary krwawe, nie tylko zwierzęce, ale i ludzkie, zarozumiałość i pycha duchownych, wyzyskiwanie przez nich wiary ludu na swój własny pożytek; to znów są ujemne strony, które teologja utrzymuje i rozszerza. Jak we filozofji pojawiły się i pojawiają się rozliczne systemy, tak i w religji objawić się musiały rozliczne wiary, z których każda jest w przekonaniu o nieomylności i prawdziwości swojej. Ale właśnie dla tego sąd o nich należy się rozumowi krytycznemu. Odpycha go teologja. Dawniej karciła go ogniem i mękami. Dziś jeszcze, kiedy po trzech wiekach rozpostarła się oświata, o jakiej nie marzyły wieki średnie, głosi się nieprzyjaciółką każdej umiejętności, która nie oddaje się w jej służbę, a śmie o niej niezależne zdanie swoje objawić. Zkąd taki obłęd nauki teologicznej? „Dostał się on — powiada autor — w wężowe kręgi następującego paralogizmu: Bóg przeobrażon zostaje w wysłańca niebios, ten zaś w namiestnika jego, najprzedniejszego arcykapłana, a nakoniec w każdego księdza. Ztąd wypadek, że w księdzu jest, prawi i działa Bóg, lub że ksiądz i Bóg jest jedno“. (T. 1. str. 189). Jak często tak i w tem miejscu widzimy przesadę twierdzeń autora. Nie potrzeba powyższego paralogizmu, by wytłumaczyć nietolerancję teologji względem innych umiejętności. Dość na to wiary w prawdę objawioną jakiejbądź religji, która w obec żywota wiecznego na tamtym świecie, albo za nic ma objawy rozumu tegoświatowego, albo za kuszenia złego ducha. Dość stać u wielkiego ołtarza i mieć się za bezpośredniego sługę bożego, i szafarza łask boskich, aby popaść w zarozumiałość własnej nieomylności.

Nie ma tego zarozumienia w naukach, „odnoszących do tego świata“. Nazwał je Trentowski kosmopeją, od greckiego wyrazu kosmos (świat tuteczny). Kocha się on w ogólności w nadawaniu naukom, osobnych nazw greckich, całe nieużywanych, dziko nieraz wyglądających, co może całości nadaje wielkiej uczoności barwę, ale zamąca wyobrażenia czytelnika nieznaną mu naukową nomenklaturą. Na samym wstępie czytamy ważną dla pozytywistów tegoczesnych przestrogę. „Zaprawdę, powiadam wam, przezacni uprawiacze nauk i umiejętności, że ten świat, któremu służycie, bez tamtego świata, którego nie uznajecie, również czcza mara.“ (T. 1. str. 196.) Jest to pogłos, wołający na nich: że nie ma materji bez siły, ciała bez duszy, świata bez ducha.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Les Premières Civilisations, par F. Lenormant. — Paris; 1874.*)

Franciszek Lenormant, uczony francuski, w dwóch właśnie wydanych tomach zebrał i wielą dodatkami powiększył cały szereg swoich artykułów, umieszczonych w różnych perjodycznych pismach, w ostatnich pięciu latach. Artykuły te zawierają w sobie wiele ważnych i ciekawych szczegółów, odnoszących się do pierwotnych cywilizacji. Z prawdziwą przyjemnością dajemy naszym czytelnikom krótki rozbiór ich treści.

W pierwszym tomie autor rozbiera człowieka kopalnego (*l'homme fossile*) to jest zajmuje się badaniami, jakie w ostatnich czasach robiono nad pierwotnym człowiekiem, zastanawiając się nad jego możliwem lub prawdopodobnem pochodzeniem, i nad czasem pierwszego pojawienia się jego na ziemi. Dalej mówi autor o kruszcach i o wprowadzeniu ich w użycie na zachodzie, o egipskich starożytnościach, które się znajdowały na wystawie powszechnej w 1867 roku w Paryżu, a nareszcie spotykamy niezmiernie ciekawy artykuł o domowych zwierzętach, przedewszystkiem o tych, które widujemy na egipskich monumentach. — W dalszym ciągu p. Lenormant podaje nie obszerne, lecz ciekawe określenie znakomitego Papyrus d' Orbiney, który nazywa egipskim romansem. Manuskrypt ten jest obecnie jednym z drogocennych skarbów British Museum.

W drugim tomie, autor szczegółowo rozbiera odkrycia pana Grzegorza Smith'a tyczące się assyryjskich tablic, następnie mówi o legendzie potopu, zapewne tego samego, którego opis znajdujemy w *Genezis*, wykazując przez porównanie napisów na tablicach terracotta z innemi klasycznemi starożytnościami, ważność tego odkrycia i jego niezależność od zabytków przechowanych w greckiem tłumaczeniu Berosus'a. Po tym artykule następuje nie mniej interesująca rozprawa pod tytułem „Weda Chaldejska“ (*Un Véda Chaldéen*) zawierająca treściwy szkic wszystkiego, co jest nam wiadome o pierwotnej historji Akadjanów (*Accadians*) bardzo starożytnej rasy w południowo-zachodniej Azji, na którą po raz pierwszy zwrócił uwagę, Dr. Hincks. W tym traktacie Lenormant rozbiera lingwistykę i historję piśmiennictwa, odnoszące się do tablic terra-cotta z Niniwy. Niektóre z nich jeszcze dowodzą, że istniały cywilizacja i literatura, daleko wyprzedzające literaturę i cywilizację narodów i rządów Mezopotamji. — Zabytki te, chociaż niestety bardzo rzadkie, zasługują na nazwę Atharva-Veda dla zachodnich orjentalistów. Niektóre z tych zabytków wspominają o bóstwie nazwanem Nouach (Noah) czyli „boskim duchu“ świata i stróżu wód. Pan Lenormant dodaje jeszcze jeden opis, nazwany przez niego „Babilońskim patrjotą“ (un Patriote Babylonien) w którym określa historję króla Merodach-baladan'a, uważając go za jeden z najwybitniejszych charakterów w VIII wieku przed nar. Chr. Opowiada on, że ten monarcha walczył niezmordowanie przeciw Assyryjczykom, *pro avis et focis* i tylko śmierć jego zakończyła walkę.

Wszystkie te nowe zdobycze nauki, są owocem wczytywania się w napisy na monumentach starożytnej Assyrji.

Drugi tom dzieła pana Lenormant kończy się rozdziałem odznaczającym się ścisłością i obfitością badań nad legendą o Kadmusie i fenickich koloniach w Grecji.

Obydwa tomy bogate w rzadką u Francuza erudycję, są pełne odsyłaczy i objaśnień uczciwie opracowanych i skrupulatnie wiernych.

Korespondencja „Tygodnia.“

Listy z Warszawy.

I.

Warszawa 28 sierpnia 1874.

Przesyłając Wam pierwszą korespondencję z naszego grodu, chciałem go dobrze zarekomendować, gdyż wiem, że pierwsze wrażenie stanowi nieraz o całej dalszej znajomości.... Chciałem tedy przedstawić ten „gród“ z jego strony najsilniejszej i najenergiczniejszej: chciałem pomówić o naszych zabawach i komedjach „żołądkowych“ (treść Homara), o naszych teatrach i magikach, o naszych koncertach i czarodziejach, o naszych sztukach pięknych i o niejakiem zbliżeniu dwóch kierunków literackich, które przez całe dwa lata pod nazwą „starej i młodej prasy“ dość żwawe ze sobą staczały boje.

Bóg mi świadkiem, że chciałem napisać wesołą i co się zowie „porządną“ korespondencję. Ale cóż, — kiedy mi zaraz na wstępie pomięszało szyki echo płaczu matek, rozlegającego się po korytarzach gimnazjów rządowych warszawskich....

Zacząłem się temu echu przysłuchiwać z bliska, dochodzić jego przyczyn — i odkryłem, że to był „prawdziwy“ płacz tych, co rozpaczały o edukacji swych dzieci. Ciężkie dla wykształcenia naszego nastały czasy! Ci, którzy przezwyciężyli pierwszą trudność — wyuczenie się dokładne języka „ojczystego“ tj. rosyjskiego — napotkali zaraz trudność drugą: „przepełnienie“ klas; a ci, którzy szczęśliwym wypadkim ominęli i tę przeszkodę, zobaczyli się wobec trzeciej: „niestosowności“ wieku do tej a tej klasy. Natłok do gimnazjów jest ogromny, bo z każdym rokiem zwiększa się chęć do nauki, a stosunek przyjętych do nieprzyjętych, wybranych do powołanych, w najlepszym wypadku przedstawia się jak 1 : 20. Pocieszający rezultat! A miłościwy nasz rząd, uosobiony tym razem w ministerstwie oświecenia, dbając o dobrobyt i oświatę swych wiernopoddanych, co daje jedną ręką... to drugą odbiera. Przed dwoma laty „zniesiono“ parę gimnazjów w Warszawie, a dopiero w tym roku pomyślano o urządzeniu tak zwanych „paralelnych oddziałów,“ w którychby można było pomieścić przewyżkę przyjętych uczniów, nie dających się wgnieść w kadry przepisane....

Nawet i u nas są tacy, którzy najmocniej są przekonani, że wszystkie powyższe środki przedsiębrane są w celach „czysto-pedagogicznych“, dążących do lepszego a gruntowniejszego wpojenia nauki w umysły uczniów. Kto jednak bliżej się przypatrzył tej „pedagogicznej“ manipulacji, musi wyznać, że utrudnienie nauki w „kraju nadwiślańskim“ jest głównym motorem wszystkich rozporządzeń ministerjalnych. Statystycznie bowiem sprawdzoną jest rzeczą, że „w kraju nadwiślańskim“ stosunek uczących się do ogólnej liczby ludności, o wiele świetniej się przedstawia, aniżeli nawet w „kraiku nadnewskim,“ gdzie jest stolica potężnego mocarstwa. Czyż więc można pozwolić, ażeby ów wzgardzony „kraj nadwiślański“ miał w oczach Europy uchodzić za bardziej oświecony aniżeli ten kraj, w którym wszystkie ministerja wraz z ministerjum „oświaty narodowej“ są zgromadzone?.. Byłby to „skandal,“ którego koszta musiałby ponosić minister oświecenia! Trzebaż więc było chwycić się środków zaradczych.

Dobitnym a przekonywającym niedowiarków rezultatem tych środków był rozpaczliwy płacz matek, nie wiedzących, co ze swymi synami zrobić im przyjdzie. Dobrze jeszcze, jeżeli niektóre z nich posiadają większe zasoby finansowe, bo w takim razie wychowańców swoich mogą oddać na pensje prywatne czteroklasowe, które z każdym rokiem się mnożą, a jakkolwiek urządzone być „muszą“ na podstawie programu gimnazjów rządowych, dla własnej jednak egzystencji zbyt ostre jego kanty obciosują. Ale jeżeli ktoś nie może złożyć 100 — 150 rs. rocznej opłaty za „naukę“ na pensjach, ten zmuszony jest

nieodwołalnie rozstać się z nadzieją wyższego wykształcenia dla swego dziecka. A boleść to okropna i zawód straszny dla kochającego serca rodziców, którzy dla tych jedynie dzieci swoich ciężkiej poddają się pracy! A zresztą, jeżeli nawet chłopiec ukończy kurs czteroletni na pensji, to ileż doświadczy trudności w przyjęciu go do klasy piątej już tylko „rządowej.“ Składać musi egzamin i poddawać się tym samym obostrzeniom, które są wymierzone na wstępujących do 1ej lub 2iej klasy: liczą się jego lata tak surowo że „trzy miesiące“ wzwyż przepisanej normy stają się już przeszkodą niezwalczoną; obrachowuje się liczba uczniów, zwraca się uwagę na wszystkie „przecinki“ w ćwiczeniu rosyjskiem....

Nie jestto wymysł ani dowcip; miałem niedawno sposobność przekonać się o tem naocznie: wypracowanie ucznia było zupełnie dobre, ale profesor postawił na niem dwójkę (tj. stopień niedostateczny) dlatego, że zadużo było przecinków.... Podobne szykany mają miejsce na egzaminach ostatecznych: dwa miesiące temu, na 6 gimnazjów rządowych „cztery“ tylko indywidua z 7ej (najwyższej) klasy dostały patent dojrzałości!... Miał to być dowód, że inteligencja polska, zepsuta dawną ustawą szkolną, stoi na nader niskim stopniu, jak się o tem przekonali nasi „cywilizatory-obrusitieli.“

To com powiedział, jest głównym tłem obrazu, na którym zarysowuje się przyszłość naszej oświaty. Na tem tle odbija się i daje się uczuć jedna z bardzo charakterystycznych cech naszego społeczeństwa. Rodzice, zapatrzywszy się na wymagania urzędowe, ulegają bezwiednie ich wpływowi i zaniedbują np. naukę języka polskiego, sądząc, że mówienie dostateczną będzie rękojmią jego znajomości. Na egzaminach wstępnych zdarza się powszechnie, że uczeń dziesięć razy lepiej przygotowany jest z języka rosyjskiego aniżeli z rodzinnego; a „terminologja“ polska wyszła w tych sferach całkiem niemal z użycia. Dziecko nad myślą i zdaniem przyzwyczaja się zastanawiać... tylko po rosyjsku. Nie potrzebuję się rozpisywać nad skutkami podobnego stanu rzeczy. Wy, dzisiaj szczęśliwi, przechodziliście niegdyś te same koleje i z historji przynajmniej wiecie, jakie były owoce z niemieckiego wychowania i wykształcenia. Dziś na nas spadło nieszczęście, a społeczeństwo odurzone nie przyszło jeszcze do siebie i nie pomyślało na serjo o przeciwdziałaniu; owszem bez wiedzy, a więc i bez grzechu, daje się porwać rączemu prądowi.... Niektóre tylko oświecone jednostki, pomyślawszy trochę o przyszłości, postanowiły dla niej pracować, zaczynając od założenia podstaw. W tem świetle ukazują się wydawnictwa pedagogiczne w Warszawie, których jest dwa. Jeszcze przy końcu r. 1872 p. August Jeske, wsparty pomocną ręką księgarza lubelskiego Arcta, zaczął wydawać podręczniki do początkowego wykształcenia służące. Wydawnictwo to po roku dopiero zyskało sobie uznanie i ciągnie się dalej w szerokich ale nieprzerwanych odstępach czasu. Drugie wydawnictwo podjęte przez Redakcję „Opiekuna Domowego“ pomyślane było jeszcze głębiej, gdyż rozpoczynało działalność swoją od pierwszych dni dziecka i zamierzało je doprowadzić choć do względnej „samodzielności“ za pośrednictwem wskazówek „domowego“ wychowania i wykształcenia. Zrobiwszy nacisk na konieczność ugruntowania narodowych zasad w sercu i umyśle wychowańca „przed“ oddaniem go do szkół rządowych, Redakcja „Opiekuna Domowego“ postanowiła wydać takie podręczniki, któreby w rękach nawet średnio-wykształconej matki nie straciły swojej wartości i mogły się przyczynić do należytego wykształcenia jej dzieci. Dotychczas wyszło „siedm“ książek w tym duchu; ale publiczność nie zdołała jeszcze ocenić dostatecznie ich znaczenia i nie poparła wydawnictwa opłacając „koszta jego“ prenumeratą. A zdawało się jednak, że przystępne tejże warunki (rs 6 za 25 książek w Warszawie a rs. 7 kop. 50 na prowincji) i cel sam wydawnictwa powinne były do głębi umysły polskie poruszyć tak w Królestwie Kongresowem jak i Poznańskiem, gdzie obecnie podobne są wielce stosunki wychowania i wykształcenia. Nie chciałbym przy tej okazji rzucać anatemy na nasze biedne społeczeństwo, gdyż przypuszczam, że tylko chęć przekonania się o wartości wydawnictwa powstrzymuje wielu od zakupywania i rozpowszechniania książek, tak obywatelską myślą natchnionych. Prawdopodobną jest rzeczą, że skoro się ukaże większa część zapowiedzianych prac i jeżeli, jak dotąd, sumiennie będą opracowywane, znajdą jak największe uznanie, czego im z całego serca życzymy. Bo niech nas Bóg broni i zachowa od spełnienia dziś jeszcze w rzeczywistości tego osławionego zdania, że Polak tylko orężem lub narzekaniem umie ojczyzny swej bronić, a do powolnego lecz pracowitego przeciwdziałania wrogom w zaciszu domowem przez wychowanie, wykształcenie i podniesienie bytu materjalnego najzupełniej jest niezdolnym...

Rzecz naturalna, rostrzygnięcie pomiędzy moją osobistą opinją a „osławionem zdaniem“ muszę zostawić przyszłości, a porzucając rolę moralisty wrócić do skromniejszego obowiązku korespondenta i zanotować fakta przytaczane właśnie na dowód prawdziwości „osławionego zdania.“ Tym razem nie ma w tem zastosowaniu żadnej ironji, i owszem przedstawia się tu nasza szlachetna natura w całej swojej okazałości. Wiadomo Wam zapewne, że wraz z ustaniem składek na utworzenie stypendjum „Kopernika“ rozpoczęło się zbieranie tychże składek na dopomożenie biedakom, którzy nigdy zapewne nie pomyślą o zawodzie matematyka i astronoma. Powód do tych składek podała łuna pożaru, która pojawiwszy się nad Siedlcami, dzień w dzień prawie przenosiła miejsce swego pobytu w zakresie południowych gubernij Królestwa Polskiego. Nie kilkanaście, ale kilkadziesiąt miast i miasteczek zatrważały opinję publiczną większem lub mniejszem pogorzeliskiem. Przerażeni mieszkańcy miasteczek byli codzień gotowi do przyjęcia wieści o pożarze: zapakowawszy do kufrów swe rzeczy, powiązawszy w węzełki pomniejsze drobiazgi, powierzyli dusze swe i mienie Bogu, który dopuszczał na nich nieszczęście. Wyobraźnia rozogniona, w dosłownem wyrazu znaczeniu, poddawała myśli najdziwaczniejsze, byle przed rozumem zdać sprawę z tak rozpowszechnionych a strasznych wypadków. Jedni zaczęli mówić o ajentach Towarzystw Ubezpieczeń, tem bardziej, że faktem statystycznie sprawdzonym jest, iż od czasu zaprowadzenia wolnych Towarzystw Ubezpieczeń tj. od r. 1868 pożary się zwiększyły i to nawet znacznie w naszym „nadwiślańskim kraju“*) Inni poczuli już woń nafty i pruskiej komuny; inni przebąkiwali o interesach, jakie robią ubezpieczający się w małych miasteczkach na każdym pożarze; inni wreszcie widzieli w całej tej historji wszechwładną rękę „Bismarka,“ który stał się takim niewidzialnym czarodziejem dla naszych mieszczan i pewnej części „szlagonów“, jak był niegdyś Napoleon I. ze swoimi Francuzami.... Domysły te nabierały tem większej doniosłości, że udzielano ich sobie po cichu, szeptem; że cenzura warszawska nie dozwalała podnieść głosu otwartego w publicystyce, która musiała rzecz całą na karb nieszczęśliwego wypadku zaznaczyć. „Nie wolno — powiadali cenzorowie — oskarżać nikogo o podpalenie, nie wolno robić żadnych domysłów, dopóki sądowi nie uda się wynaleść jakichś poszlaków“.. Zostawiono więc otwarte pole dla bujnej wyobraźni naszych domyślnych spółobywateli, którzy we dnie i w nocy mieli pod oczyma widziadła z zapalonemi głowniami. Tymczasem Warszawa, jako serce całego kraju, nie mogła pozostać obojętną na nieszczęścia, które jej ukochane dzieci wycierpiały. Redakcje dzienników otworzyły składkę na pogorzelców Siedleckich; ale niewiadomo kiedy ją zamkną, bo po za Siedlcami roi się mnóstwo innych miast, począwszy od Międzyrzecza a skończywszy na Pacanowie. Dobroczynna Warszawa, mając już u siebie „Towarzystwo Dobroczynności“, musiała wystarczyć i dla prowincji. Posypały się więc pieniądze tysiącami rubli, w celu chwalebnym... ani słowa, bo tysiące te dowiodły, że mieszkańcy naszego grodu umieją odczuwać nieszczęścia spółobywateli i przychodzić im z czynną pomocą, jakkolwiek tylko... chwilową. Przyczyny nieszczęść leżą głębiej, i, chcąc je wykorzenić, potrzebaby było pracy powolnej i systematycznej, do której wedle owego nieszczęśliwego zdania jesteśmy niezdolni. Potrzebaby było np. w niektórych miastach zaprowadzić wodociągi, w innych urządzić straż ogniową, w innych pobudować domki murowane w miejsce drewnianych itp. Potrzebaby słowem pozaprowadzać reformy, wymagające i dobrego obmyślenia i powolnego urzeczywistnienia. Kiedy pożary najwścieklej się srożyły, jedno i drugie pismo zagadało o tem, ale w chwili, gdy to piszę, ponieważ niebezpieczeństwo mniej groźnem się wydaje, zapomniano o projektach reformy i wrócono do porządku dziennego. Na porządku zaś dziennym są „teatrzyki letnie“, których sezon ma się zakończyć wtedy właśnie, gdy liczni wsi nieszkańce mają się zjechać do stolicy na „Rolniczą Wystawę;“ — na porządku dziennym są wyrzekania na dyrekcję teatrów rządowych, która wśród nowości scenicznych wystawia na pokaz śmiecie paryskie pod napisami: „Tricoche i Cacolet“, „Homar“ itp: na porządku dziennym jest jeszcze dotąd „konkurs żniwiarek i kosiarek“ na polach Rakowca o 3 wiorsty od Warszawy w dniu 6. i 7. sierpnia odbytym, dla tego że wyrok sędziów tego konkursu dotąd jest jeszcze nieznany. Jest wiele innych jeszcze kwestji należących do porządku dziennego; ja jednak nie mam potrzeby rozszerzać się nad niemi, jużto dla ich czysto miejscowego znaczenia, już też z powodu, jak np. co do wyroku sędziów o żniwiarkach, i kosiarkach, że gdy korespondencja moja wydrukowana zostanie, inaczej się one przedstawią. Nie chcąc więc przy liście moim wyczytać niemiłego dodatku „spóźniony“, zmuszony byłem ograniczyć się scharakteryzowaniem chwili obecnej w jej najważniejszych tylko zarysach. Ażeby jednak w niczem nie uchybić obowiązkowi korespondenta, winienem jeszcze dodać słów kilka o przygotowaniach do ważnego w historji Warszawy wypadku, jakim w każdym razie będzie „Wystawa Rolnicza“, na której ma się ukazać w miniaturze zarówno rodzaj naszych zasobów materjalnych, jak i środki do wyeksploatowania ich używane. Pisma codzienne pomieszczają pokaźne listy zapisanych dotychczas w biurze „komitetu wystawy rolniczej“ nazwiska wystawców wraz z podaniem przedmiotów mających być wystawionemi. Sądząc z tych list, wystawa może być bardzo liczna i nader wpływowa na nasze gospodarcze stosunki. Wydano też ze strony komitetu odpowiednie rozporządzenia, godząc się np. z „Biurem posłańców publicznych“ o pośrednictwo w wynajmowaniu mieszkań dla przybyłych itp. Na „Placu Ujazdowskim“, gdzie ma się odbywać wystawa, wzniesiono już skromne drewniane budynki, podobne do tych, jakie na jarmarkach lipskich kupcy nasi nieraz widują... Co więcej, powzięto zamiar urządzenia tamże konferencji w przedmiocie kwestyj rolniczych. Nie będą to odczyty; ale prawdziwe rozprawy takie, jakie na kongresach zazwyczaj miewają miejsce. Jestto jedna z najszczęśliwszych myśli, jakie z okazji wystawy Rolniczej u nas powzięto: tym bowiem sposobem rolnicy nasi mogą się zaznajomić zarówno ze stanem kraju jak i ze stanem uprawy ziemi; mogą doświadczenia swoje i obserwacje spożytkować, nauczając innych i ucząc się sami. A zatem, szczęść Boże! — Ach, prawda, jeszcze słówko...

Darujcie, szanowni czytelnicy, że zabierając z Wami znajomość poprzez kordon, rozpocząłem rozmowę od rzeczy, które się zwykły traktować pobieżnie, chociaż na wcale inny los zasługują, nie sądźcie jednak, ażebym i nadal w tym tonie rozmowę utrzymywał; wiem ja, że potrzeba trochę łez i śmiechu dla należytej równowagi dobrego humoru; wiem ja, że dziennikarstwo, literatura naukowa i sztuki piękne, powinne być omawiane (nie obmawiane) na równi z kwestjami ekonomicznemi, pedagogicznemi i w ogóle społecznemi; wiem wreszcie, że żart „w porę“ lepszy jest czasami od najlepszego kazania... W dalszych więc listach moich przeplatać się będzie jedno i drugie i trzecie, boć odrazu trudno Wam duszę otworzyć do głębi; a chciałbym przecież z Wami, czytelnicy, zawiązać serdeczny i bratni stosunek, jaki powinien łączyć dzieci jednej matki — nieszczęśliwej, ale szlachetnej...

P. Wieniawa.

*) Zob. ciekawy artykuł w „Bibljotece Warszawskiej“ za miesiąc Sierpień, 1874 str. 263.

Ze świata naukowego.

Wykopaliska Trojańskie,

przez

Dr. E. Burzyńskiego.

Od niepamiętnych czasów zajmowało uczonych wyszukanie miejsca, na którem stała pamiętna swym upadkiem starożytna Troja. Wyprawa Greków tak wspaniale opowiedziana w „Iliadzie“ Homera, rzuciła na to miasto nieza-

tarty urok. Uprowadzenie przez Parysa, syna króla trojańskiego, pięknej Heleny, było powodem tej wojny, w której wzięła udział cała niemal Grecja. Widownią tej walki była tak zwana równina trojańska t. j. błonie ciągnące się od obozu greckiego do murów Troi, położone między górą Ida a przylądkiem Sigeum, będące dziś częścią tureckiej prowincji Liwa-Karasi.

Te najpiękniejsze podania bohaterskiej przeszłości, w formie poetycznej w Iliadzie przedstawione, przyciągały już w starożytności do miejsc, w których się te walki odbywały. Tu pokazywano podróżnym grobowce poległych bohaterów jak Hektora, Achilesa itd. Na tej równinie Kserkses idąc do Grecji ofiarował Minerwie, jak powiada Herodot, 1000 wołów, a Aleksander Wielki zarządził na cześć poległych na wzgórzach, któremi równina Trojańska przecięta, wielkie igrzyska pogrzebowe.

Atoli już w starożytności nie było zgody co do miejsca, na którem stała Troja Homera. Podług podań starożytnych, powstało na gruzach Troi miasto Ilium. Strabo jednak, polegając na zdaniu Demetrjusza ze Skepsis, twierdzi, iż miasto Ilium nie było siedzibą Trojańskiego państwa, albowiem w Ilium i okolicy tegoż niema dla walk, tak rozległe w Iliadzie Homera opisanych, dostatecznego miejsca. — Widzimy więc, że już za czasów Strabona miejscowość starego grodu nie mogła być dokładnie wskazaną, zwłaszcza gdy późniejsza osada Eolska zaginęła bez śladu. Od roku 1788 po nar. Chr. w którym uczony Lechevalier odwiedził równinę Trojańską („Voyage de la Troade“ 3. éd. Paris, 1802.) przyjęto mniemanie, jakoby dzisiejsza wieś Bunar-Baschi leżała na miejscu starożytnej Troi.

W najnowszych dopiero czasach, słynny uczony niemiecki, Juljan Braun, wystąpił z twierdzeniem, że w łonie wzgórza Hissarlik, na miejscu osady greckiej Ilium, należy szukać Troi Homera. Dr. Henryk Schliemann, Meklemburgczyk rodem, dawniej kupiec w Petersburgu, wraz z swą żoną, rodowitą Greczynką, zapaloną wielbicielką pieśni Homera, powziął zamiar przeszukania wzgórza Hissarlik, dowiódłszy już przedtem w dziele, w r. 1869 p. t. „Ithaque, le Peloponnese et la plaine de Troje“ na podstawie poszukiwań przedsięwziętych wydanem, że dawna Troja nie mogła się znajdować w miejscu Bunar-Baschi. W dziele wspomianem wyżej, podaje Dr. Schliemann swój życiorys, zbyt ciekawy, byśmy go choć w streszczeniu nie powtórzyli czytelnikowi.

Dr. Schliemann oddany został w swojem mieście rodzinnem na naukę do handlu korzennego, w którym pobyt prędko sobie sprzykrzył. Ucieka więc, dostaje się do Hamburga a ztąd jako majtek do Amsterdamu, w którem to mieście, jako chłopiec, u pewnego znacznego kupca znachodzi umieszczenie. Tu poczyna się dopiero w dorastającym młodzieńcu zapał do nauki; za oszczędzony grosz skupuje książki i poświęca się szczególnie nauce języków. Przy usilnej pracy za 6 miesięcy dochodzi do biegłości w języku francuskim, w następnych 6. nauczył się języka angielskiego, potem w bardzo krótkim czasie włoskiego, hiszpańskiego i innych. — Ciekawy przechodniowi przedstawiał się widok, gdy Schliemann, spiesząc nieraz z poleceniami swego pryncypała, z gramatyką w ręku przebiegał ulice Amsterdamu; naturalną też rzeczą opóźniał się bardzo często, czem niezadowolenie przełożonych na siebie ściągał, za co go wkrótce oddalono. Schliemanowi jednak, posiadającemu już tyle języków, nie trudno było uzyskać pomieszczenie w większym domu handlowym, sięgającym stosunkami także i Rosji. Gdy jednak nie posiadał języka rosyjskiego, nauczył się i tego, a to przy pomocy jakiejś starej gramatyki i tłumaczenia rosyjskiego Telemaka. — Teraz wysłanym został jako reprezentant domu handlowego do Petersburga. — Tu wiedzie mu się bardzo dobrze — z zastępcy zostaje wkrótce sam kupcem i nadspodziewanie szybko wzrasta jego majątek; mimo to kształci się dalej, uczy się języków klasycznych i helleńskiego (nowo greckiego) jakoteż arabskiego. Częste podróże, przedsiębrane w sprawach handlowych, w których odwiedził nieraz miejsca historyczne, pilne wczytywanie się w starożytne utwory a szczególniej greckie, niemniej też wrodzone zamiłowanie do archeologji, skłoniły Dr. Schliemanna do porzucenia zawodu kupieckiego i poświęcenia się wyszukaniu miejsca starożytnej Troi, gdzie spodziewał się znaleźć wiele zabytków, odnoszących się do owej epoki.

Uzyskawszy po wielu trudnościach od rządu tureckiego pozwolenie, czyli tak zwany ferman do przeszukania wzgórza Hissarlik, udał się Dr. Schliemann z żoną tamże w październiku 1871 r. ze stałem przedsięwzięciem przeszukania całego wzgórza aż do spodu. Wystawiwszy dla siebie jaki taki domek mieszkalny, wyżłobił przy pomocy w okolicy najętych robotników tunel 60 metrów długi, który przerzynał pięć warstw rozmaitych szczątków. W ten sposób kopiąc od powierzchni góry aż do głębokości dwóch metrów, odkrył rumowiska greckiej kolonji, która na gruzach dawnej Troi osiadła. — Później następują szczątki z późniejszych czasów, między temi wielkie urny, noszące na sobie piętno sztuki asyryjskiej; — ukazują się także narzędzia i zbroje, kamienne i miedziane, niemniej medale z Ilium na 200 i 100 lat przed Chr. i tyleż po Chr., monety z Aleksandrji, Troas i Sigeion; ilijskie monety z wizerunkami Minerwy, Faustyny starszej i młodszej, Marka Aureliusza; wreszcie rzeźby, ułamki marmuru i t. d. Szczególną zwraca na siebie uwagę przepyszna metopa, przedstawiająca bożka słońca z paryjskiego marmuru, w szatach kobiecych, z promieniami słonecznemi naokoło głowy, wspartego na czterech dzielnych rumakach, wykończona zupełnie en face, co już samo dowodzi, że ta metopa pochodzi z epoki nowego Ilionu.— Twarz bożka nadzwyczaj wyrazista, niemniej i szaty bardzo plastycznie wykonane; znajomość anatomji w dziko wspinających się rumakach na prawdziwe podziwienie zasługuje.

Tak postępując, warstwa po warstwie, od 2—4, 4—7, 7—10 i 10—16 metrów, spotykał ciągle mnóstwo szczątków sztuki greckiej, im głębiej, tem naczynia coraz dziwniej ukształtowane, jak wazy z wyobrażeniem sowy, ptaka Minerwie poświęconego, z piersiami kobiety; czary, misy, talerze niezliczone, mnóstwo okrągłych naczyń z terracotty, ozdobionych znamieniem krzyża, które u aryjskich narodów od wieków jako święte było uważane.

Znaki krzyża na trojańskich terracottach, już tysiące lat przed Chrystusem u aryjskich narodów były czczone jako symbol religijny. Napotykamy je dziś na kazalnicy św. Ambrożego w Medjolanie i w katakombach rzymskich, jakoteż na odwiecznej celtyckiej urnie, w hrabstwie Norfolk odkrytej, na koryntyjskich i attyckich wazach, wreszcie na okrętach króla Bramy, który żył na 1300 lat przed Chrystusem.

Znakomity uczony, Emile Burnouf, w dziele: „La Science des Religions“ powiada, że wyżwspomniane znaki krzyża przedstawiają przyrząd, za pomocą którego w starożytności dobywano ognia. W miejscu, gdzie dwa kawałki drzewa, składające krzyż, łączą się, wydrążano dołek, do którego wkładano trzeci kawałek („Pramantha“), i tym za pomocą sznurka tak długo kręcono, póki ogień nie powstał. Ojcem ognia był Twastri, to znaczy boski cieśla, twórca przyrządu, za pomocą którego ma powstać boskie dziecko. Matką świętego ognia jest Maja, która przedstawia żywotną siłę w kształcie niewiasty. Zaledwie powstał słaby promyczek (Agni) z łona matki — tj. z opisanego wyżej przyrządu, który tu matką się zowie, przybiera on nazwisko dziecięcia. Na uczczenie nowonarodzonego dziecięcia, znachodzimy w Rigvedzie prześliczne hymny. — Kult krzyża zatem już u aryjskich narodów bardzo rozpowszechniony, przeszedł także i do greckich czasów, jak to widać na terracottach przez Schliemanna odkrytych.

(D. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademji umiejętności. Tom I. Kraków, 1874. Nakładem Akademji, 8; LXXXVIII. 314.

Tom ten zawiera następujące rozprawy: dra Karola Mecherzyńskiego: O wizycie Akademji krakowskiej odbytej w r. 1766 przez ks. Kajetana Sołtyka, biskupa krakowskiego. A. H. Kirkora: Badania archeologiczne w okolicach Babic i Kwaczały. Dra A. Sokołowskiego: Projekt rozbioru Polski w XV. wieku. Dra M. Bobrzyńskiego: Wiadomość o uchwałach zjazdu Piotrkowskiego z r. 1406, oraz takiegoż zjazdu z r. 1407. Sadowskiego: Obecny sposób zapatrywania się na zabytki z epoki spiżowej. Dra. Szujskiego: Uchwały zjazdu w Radomsku dnia 2. marca 1384. Kalickiego: Przyczynek do historji dziejopisarstwa polskiego w XVII. wieku. Dra Szujskiego: Nieznany poemat satyryczny z XVII. wieku dla historji zużytkowany. Dra Bojarskiego: Dwa zabytki sądownictwa karnego z w. XVI.

— Pamiętnik Akademji umiejętności w Krakowie. Wydziały: filologiczny i historyczno-filozoficzny. Tom I. Kraków, 1874. Nakładem Akademji.

Zawiera prace: Dra Samolewicza: Studja platońskie. Maurycego hr. Dzieduszyckiego: Rys dziejów kościoła katolickiego w Szwecji. Dra Kętrzyńskiego: O narodowości polskiej w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich. Studjum historyczno-etnograficzne i Dra Węclewskiego: O poezjach Andrzeja Krzyckiego.

— Rocznik zarządu Akademji umiejętności w Krakowie. Rok 1873. Kraków, 1874. Nakładem Akademji.

— Starodawne prawa polskiego pomniki. Tom III. Correctura statutorum et consuetudinum regn Poloniae anno M. D. XXXII. decreto publico per Nicolaum Taszycki etc. confecta. Ex rarissima editione authentica opera Michaelis Bobrzyński nunc iterum edita. Cracoviae — 1874 — Sumptibus Academiae litterarum.

Tom ten stanowi dalszy ciąg tomów I. i II. wydanych w r. 1856 i 1870 przez Antoniego Zygmunta Helcla i zawiera w sobie statut noszący nazwę Taszyckiego. Akademja umiejętności, jako spadkobierczyni Towarzystwa Naukowego, której śp. Helcel wszystkie papiery swoje przekazał, idąc za wolą tegoż, w przedmowie do tomu drugiego „Pomników“ objawioną, podała nam ten może najwspanialszy pomnik pracy prawodawczej Zygmuntowskich czasów. Dodać tu winniśmy, że statut ten nigdy w wykonanie nie wszedł i należy do ksiąg bardzo rzadkich, tak zwanych białych kruków. Czacki widział

tylko dwa całe egzemplarze tego statutu, z których jeden miał w swojej bibljotece Załuski. Prawa są ułożone porządkiem instytucji Justyniana.

— Scriptores rerum Polonicarum; Tom II. Kraków — 1874 — Nakładem Akad. Umiej. w Krakowie.

Zawiera kroniki Bernarda Wapowskiego z Radochoniec część ostatnią, obejmującą czasy podługoszowskie (1480—1535.) Kronikę tę wydał, z rękopisu będącego własnością hr. Wiktora Baworowskiego, życiorysem Wapowskiego i wyjątkami z współczesnych historyków objaśnił Dr. Szujski. — Tom I. wydany w Krakowie r. 1872 i mieści w sobie Dyarjusze sejmów koronnych 1548, 1553 i 1570 r.

— Sprawozdania komisji fizjograficznej byłego c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego. Kraków, 1773; Akademja umiej. w Krakowie.

Obejmuje pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1872, oraz materjały do fizjografji Galicji. Z mapą litografowaną.

— Historja kościoła polskiego przez X. Melchiora Bulińskiego, Kraków, 1873 i 1874. Staraniem wydawnictwa czytelni ludowej i księgarni Nowoleckiego. Tom I.—III.

Tom I. Epoka piastowska. Tom II. Epoka Jagiellońska. Tom III. Epoka królów obieralnych. Autor, były profesor b. Akademji duchownej rzyms. kat. w Warszawie, wydał w latach 1861—1866 sześciotomową historję kościoła powszechnego.

— Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Wydanie zupełne. Tom VIII. Poznań, 1874.

Powyższy tom jest ostatnim, zamykającym zupełną edycję dzieł Kazimierza Brodzińskiego, podjętą przez J. I. Kraszewskiego. W tomie tym znajdujemy rzecz o *Egzaltacji* i *entuzjazmie; O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej,* luźne rozprawy, zebrane przez Dmochowskiego a zatytułowane: *Myśli o języku polskim,* nakoniec pod zbiorowym tytułem *Rozmaitości,* spotykamy krótkie zarysy biograficzne, powiastki i opowiadania dla dzieci, alegorje, parabole, przysłowia i luźne myśli.

Francuska i włoska.

— La Cour et la ville de Madrid, vers la fin du XVII siècle. Par la Comtesse d'Aulnoy. Paris 1874. Plon & Comp.

Dobre pamiętniki są rzadkością, nie tylko u nas ale i za granicą; powyższe dzieło należy do najlepszych w tym rodzaju. Autorka urodzona i wychowana w Paryżu, zwiedziła Madryt w r. 1669, a więc w epoce nadzwyczaj ciekawej, pełnej dworskiej etykiety, dzikich namiętności i nierozumiałego dziś dla nas fanatyzmu religijnego. Tradycje maurytańskie, zwłaszcza w stosunkach mężczyzny do kobiety, utrzymywały się jeszcze w całej pełni, *autodafè* były na porządku dziennym. Styl pani d'Aulnoy jest jasny i zwięzły — sposób przedstawiania rzeczy nadzwyczaj zajmujący, to też jej pamiętniki nierównie z większą czyta się przyjemnością, niż każdą z najbardziej intrygujących powieści nowoczesnych, zwłaszcza że się z nich można wiele nauczyć. Badanie zwyczajów i obyczajów mniej znanych narodów, pozostanie zawsze bardzo przyjemną rozrywką.

— Fonctionnaires et Boiards, par le prince Joseph Lubomirski. 1 Vol, Paris, Didier. 1874.

Autor z wielką prawdą odmalował w tej powieści czasy mikołajowskie.

— Les sciences occultes en Asie. La magie chez les Chaldèens et les origines Accadiennes; par François Lenormant. Paris, 1874.

— Romolo, per Angelo de Gubernatis; Firenze, 1874.

Angelo de Gubernatis, należący dziś do najzdolniejszych pisarzy włoskich, ukończył właśnie dramat, pt. *Romolo.* Gubernatis napisał dotąd kilka utworów scenicznych, jak *Il rè Nala, La morte del rè Dasarata,* które osnuł na tle legend indyjskich. Teraz sięgnął w świat bliższy, rzymski i przedstawił Romulusa założyciela Rzymu. Jakkolwiek wzmiankowany utwór nie pojawił się jeszcze na scenie, mimo to sprawozdawcy pism zagranicznych chwalą go jako dzieło nadzwyczaj poetyczne, które atoli, właśnie dla swojej wielkiej poetyczności, lepiej się może wyda czytane w książce, niż widziane na scenie.

— Il Messia secondo gli Ebrei. Studio di David Castelli. Firenze, successori di Le Monnier, 1874.

Książka nader ciekawa. Autor zebrał w niej wszystko co żydzi, już po przyjściu Chrystusa, o Mesjaszu myślą i piszą.

Wiadomości ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— W Poznaniu zacznie wkrótce wychodzić pismo humorystyczne pt. „Djablik poznański", a we Lwowie księgarnia Gubrynowicza i Schmidta postanowiła wydawać od dnia 1. października r. b. „Ruch literacki". Z całego serca życzymy nowym naszym kolegom powodzenia.

— Galicja będzie miała wkrótce trzy nowe prace, jej wyłącznie poświęcone. Znany historyk i geograf, p. Łucjan Tatomir, kończy właśnie „Geografję Galicji", dzieło wszechstronne i wyczerpujące, p. Wł. Rapacki drukuje sumienną i jedyną w swoim rodzaju pracę p. t. „Ludność Galicji"; a p. Antoni Szneider wykończył „Mapę archeologiczną Galicji", która jednak potrzebuje jeszcze wydawcy.

— W Radomiu, za staraniem artysty-malarza, p. Brandla, otworzono w sali gimnazjalnej wystawę obrazów w liczbie około 240 egzemplarzy. Dochód przeznaczono na rzecz miejscowego szpitalu.

— Warszawskie konserwatorjum muzyczne otrzyma na r. 1875, 7600 rubli subwencji, teatra zaś warszawskie 60.000 rubli.

— Alfons Royer, autor Historji powszechnej teatru, wydał dotąd trzy tomy tego dzieła, obejmujące szereg wieków od dalekiej starożytności do wieku XVIII. Teraz przygotowuje tom czwaty, ogarniający cały rozwój dramatycznej sztuki w wieku XIX. Nasz uczony rodak, p. Aleksander Chodźko, profesor orjentalnych języków w Paryżu, posiłkuje często swemi zbiorami p. Royer, gdyż w pierwszym już tomie jego publikacji spotykamy się z wyciągiem z dzieł p. Chodźki o teatrze perskim, a teraz podobno otrzymał p. Royer przyrzeczenie otrzymania źródeł do zarysu sztuki dramatycznej w Polsce.

— Niejaki Teodor Pixis zakłada w Monachjum szkołę malarską i kompozycyjną, do której będą przyjmowane same tylko kobiety, mające prawdziwe zdolności i gruntowne studja przedwstępne. Zadaniem dyrektora będzie, przysporzyć światu jak najwięcej skończonych artystek.

— Cesarz austrjacki znany cykl „Piękna Meluzyna" Schwinda, nabył dla Belwederu za summę 20.000 talarów. Dzieło to dotąd było własnością studtgardzkiego księgarza Neffa.

— W Norymberdze utworzono stypendjum imienia Kaulbacha, przeznaczone na zapomogi dla utalentowanych niemieckich artystów, bez względu na ich płeć, wiek i miejsce zamieszkania.

— Rada gminna miasta Kopenhagi przeznaczyła 6000 talarów na pomnik dla Thorwaldsena, który zostanie wzniesiony w stolicy Islandji, Reikjavik. Thorwaldsen pochodził z Islandji. Statua będzie wylana z bronzu.

— Wiadomo, że w miesiącu sierpniu rb. król duński jeździł do Islandji, na uczczenie tysiącletniej rocznicy odkrycia tej wyspy przez skandynawskich podróżników, i przyłączenia jej później do Danji. Obecnie będzie w Kopenhadze urządzona wystawa fotografji, obrazów olejnych i szkiców, przedstawiających sceny z życia islandczyków. Najwięcej utworów ma dostarczyć duński malarz Sörensen, który królowi towarzyszył w podróży.

— W Manchester stanie wkrótce posąg Oliwiera Cromwella. Wykonawcą tego dzieła jest rzeźbiarz Noble.

— Berlińska galerja obrazów ulegnie radykalnej zmianie. Najpierw zostaną porobione nowe przejścia między pojedyńczemi salami, odpowiedniejsze położeniu okien, a następnie teraźniejszy dyrektor wynurzył przekonanie, że między obrazami jest wiele prac miernych, które gdzie indziej powinne być pomieszczone, a nie w salach arcydzieł.

— W Paryżu, w „Ecole des beaux Arts" wystawiono malowidła Pawła Baudry, przeznaczone do Foyer nowej opery. Wszystkie kompozycje, nad któremi artysta 10 lat pracował, odnoszą się do muzyki lub tańca. Publiczność tłumnie zwiedza wystawę.

— Londyński zakład muzyczny Cramer a Co. zamówił u Offenbacha za 30.000 guldenów operetkę z życia angielskiego, która na Boże Narodzenie ma być pierwszy raz przedstawioną w teatrze Alhambra, w Londynie. Libretto wyjdzie z pod pióra anglika H. B. Farnie. Offenbach zaczął już pracować, a na pierwsze przedstawienie zjedzie do Lodynu, aby niem osobiście kierować.

— „Przejście przez Wenus", oto tytuł najnowszej farsy pp. Meilhac i Halevy.

— Franciszek Suppe, napisał nową operetkę p. t. „Jaskinia Zbójców" i powierzył ją do wykonania dyrekcji Teatru Karola w Wiedniu.

— W Paryżu, w Gymnase drammatique, przedstawiają z wielkiem powodzeniem świeżo napisany dramat L. Leroy, p. t. „Madame Vandeuil." Przedmiotem jego, jak łatwo odgadnąć, znowu kwestja małżeńska, ale rozwiązana na ten raz emfatycznie moralną sceną.

— Juljusz Rosen napisał jednoaktową farsę p. t. „Palę moją teściowę."

— W Berlinie zabroniła policja wystawienia nowej trzyaktowej komedji p. t. „Die Waffen des Kronprinzen."

— Tej zimy pojawią się w Berlinie następujące trzy nowe opery: „Viola" W. Tauberta, „Machabejczycy" Rubinsteina i „Król powiedział" Delibesa.

— Nietylko angielscy pozytywiści oddają się gorliwie badaniu natury; za ich przykładem poszli także idealiści belgijscy, a chociaż do wręcz przeciwnych jak Darwin przychodzą oni wyników, mimo tego nie można im odmówić głębokiej nauki. Profesor w Akademji brukselskiej, Van Beneden, miał nadzwyczaj zajmujący odczyt o „towarzyskiem życiu niższych zwierząt". — Im uważniej śledzimy życie tych zwierząt, — mówi między innemi szanowny profesor, — tem większe widzimy podobieństwo między światem zwierząt, a ludzkiem towarzystwem, i nie długo szukając, przychodzimy do przekonania, że prawie nie ma stanowiska towarzyskiego, któreby pod pewnemi względami nie powtarzało się między zwierzętami. Większa ich część żyje spokojnie z owoców własnej pracy, ale obok tych zacnych przemysłowców, widzimy nędzników, który bądź jak pasożyty wegetują w obcych organach, bądź każą się karmić przez pracowitych swoich towarzyszy. Na udowodnienie tego twierdzenia, Beneden przytacza wielką liczbę przykładów, które wybrał z nadzwyczajną bystrością. Z nich dowiadujemy się, jak rozmaitym rzemiosłom oddają się zwierzęta, jakich usług nawzajem od siebie wymagają, i w jaki sposób żyje nie raz jedno zwierzę kosztem drugiego. Profesor kończy swój odczyt wynurzeniem wiary głębokiej, że świat tak harmonijnie uorganizowany, nie może być dziełem przypadku, wyrobem przeistaczającej się materji, lecz dobrze obmyślanem dziełem Stwórcy.

Podróże, odkrycia, wynalazki i komunikacje.

— Po wydaniu pierwszego numeru „Tygodnia", nadeszła wiadomość o członkach ekspedycji austrjackiej do bieguna północnego. Zamknięci przez 14 miesięcy w lodach, musieli nakoniec porzucić statek „Tegetthoff" i po 96 dniowej podróży na sankach dostali się do Nowoj-Zemli, zkąd moskiewski szoner przywiózł ich do Tromsöe. Wyprawa ta nie została bez ważnych rezultatów; odkryto nieznane dotąd ziemie. Główni członkowie ekspedycji, Weyprecht i Payer, ogłoszą po powrocie do Wiednia, co z końcem tego miesiąca nastąpi, wyczerpujące sprawozdanie. — P. Łucjan Tatomir, który dla "Tygodnia" pisze właśnie rozprawę o podróżach do bieguna północnego — zakończy swoją pracę odkryciami podróżników austrjackich. Druk tej rozprawy rozpocznie się w numerze 4tym naszego pisma.

— Warszawska „Niwa" donosi, że na błocie bieleckiem, nad Wieprzem, w majętności hr. Kickiej, pan Józef Przyborowski odkrył szczątki mieszkań nawodnych, serpentynową siekierę i wiele narzędzi krzemiennych.

— W Domaniewicach, pod Wolbromem, w guberni Kieleckiej, na przestrzeni 67 morg, znaleziono piaskowiec, rudę żelazną i błyszcz ołowiany.

— Z końcem ubiegłego miesiąca, otwarto w pałacu w Compiègne nowe muzeum z Kambodży. Henryk Monhot, naturalista francuski, pierwszy zwrócił uwagę Europy na olbrzymie zabytki sztuki, znajdujące się na terytorjum indo-chińskiem, w prowincji Kambodży. Kilkakrotne wyprawy w tamte strony pozostały bez skutku, ponieważ podróżnicy umierali na zaraźliwe choroby, i dopiero porucznik okrętowy, Delaporte, wysłany przez ministra, Juljusza Simona, dotarł szczęśliwie do miejsca zaczarowanego, zkąd przywiózł bardzo wiele posągów, płaskorzeźb i innych zabytków cywilizacji, która od długich wieków istnieć

przestała. Okazuje się z tego, że w krainach, gdzie świat śladów cywilizacji nie przeczuwał, żyły narody potężne, które stawiały olbrzymie pałace i świątynie.

— James Gordon Bennet, właściciel dziennika „New-York Herald“ wysyła do Afryki środkowej ekspedycję, pod naczelnictwem Henryka Stanley'a, tego samego, który odnalazł Livingstone'a. Ekspedycja ta ma za zadanie zbadać na miejscu kwestję niewolnictwa. Oprócz tego Stanley zajmie się dalszem prowadzeniem poszukiwań i odkryć, rozpoczętych przez Livingstone'a, a to dla uzupełnienia wiadomości jeograficznych dotyczących biegu Nilu i krain, w których on bierze swój początek.

— Pewien bogaty Anglik, rozpocząwszy poszukiwania na górze Sion w Jeruzalem, na miejscu zajętem obecnie przez cmentarz, dokopał się szczątków jakiejś nader starożytnej i olbrzymiej budowy. Byłyżby to fundamenta świątyni, którą Rzymianie postawili w tem miejscu, czy też może gruzy drugiej świątyni Żydów?

— Sklepienie w sławnym tunelu przez Mont-Cenis zaczęło się rysować; zaniepokojenie było wielkie. Dnia 28. sierpnia zjechała do Modane komisja z inżynierów francuskich i włoskich. Na szczęście okazało się, że niebezpieczeństwa nie ma. Trwałość tunelu nie ulega żadnej wątpliwości. Naprawa już się zaczęła.

— W dzisiejszych czasach postępu w dziedzinie nauki, z dniem każdym zdobyte doświadczenia przekonywają, że każda choćbyna pozór najniepotrzebniejsza rzecz może być użytecznie spotrzebowana. Para, ten potężny czynnik, olbrzymiemi machinami ogrzana do wysokiego stopnia i następnie sprowadzona na zwykły żużel koło hut bezużytecznie leżący, przemienia go niebawem na tak zwaną wełnę mineralną, białą jak śnieg, która będąc złym przewodnikiem ciepła, służyć może do obijania siedzeń w pokojach, wagonach i w ogóle wszędzie tam gdzie dziś podobne złe przewodniki ciepła są w używaniu. Żelazny ten żużel więc, zupełnie przepalony i tamujący wolne przejście robotnikom, będący niejako zawadą i ciężarem, stopiony gorącą parą, wyciąga się w białe na jednę stopę długie niteczki, które podobne do wełny, posiadają jej własności i dają się użyć jako tkanina.

Statystyka.

— Obecnie dopiero dowiaduje się Anglja ściśle o obszarze i liczbie mieszkańców indyjskich swoich posiadłości. Wedle pomiaru i spisu ludności pokazuje się że Anglja w Indjach panuje nad 238,000,000 mil. dusz na przestrzeni blisko pół miliona angielskich mil kwadratowych. Ale trzy piąte tylko tej przestrzeni a zaledwie trzy czwarte ludności znajdują się pod bezpośrednią władzą Anglji; reszta bowiem wasnych, miejscowych książąt ma nad sobą. Ze 183,000,000 bezpośrednich poddanych angielskich, przeszło 127 mil. jest Hindusów, 41.000.000 Muzułmanów, a 15.000.000 należy do miejscowych, bezkastowych ras. Resztę zaś stanowią Budhyści, Żydzi, Persowie i Chrześcijanie. Przecięciowy przyrost ludności w Indjach wynosi pół procentu rocznie; i tu Hindusy rozmnażają się prędzej od Mahometanów, z przyczyny wczesnych małżeństw, katolicy bardziej niż poprzedni a mianowicie w stosunku $1\frac{1}{5}$ procentu, a protestanci nawet w stosunku $6\frac{1}{10}$%; ogólna jednak cyfra ich nie przenosi ćwierci miljona. Parsowie wymierają powoli, jest ich już tylko 70.000. Najmniej zwolenników ma religja żydowska, liczba ich tylko 8000 wynosi; ale ci nie okazują najmniejszej skłonności do wymarcia.

— Czterdzieści trzy lat temu otwartą została pierwsza kolej żelazna pomiędzy Liverpoolem i Manchestrem. Obecnie liczą 239.988 kilometrów, czyli 31.703 mil jeogra. kolei w ruchu na całej ziemi. Z tego przypada na Europę 111.909 kil., na Amerykę 109,961 kil., na Azję 8533, na Australję 1812, a na Afrykę 1773. Ogólny ciężar żelaza wszystkich kolei żelaznych wynosi około 600 miljonów centnar., i spoczywa na 410 milionach progów. Z tego zużywa się dziennie około 40.000 cetn. żelaza, a 137.000 sztuk progów. Na wszystkich linjach kolejowych znajduje się razem około 58-000 lokomotyw, 96.000 wozów osobowych a 1,280.000 towarowych (ciężarowych). Gdyby tę całą ilość wozów ustawić w jednej linji, zajęło by to przestrzeń około 2100 mil. Ruch towarowy na wszystkich kolejach wynosi około 40 milionów cetn. dziennie. Ludność żyjąca z koleji liczy około 1,900.000, a z rodzinami przedstawia razem summę 5 milionów ludzi.

— Ruch na alpejskich kolejach w r. 1873 był następujący: St. Gothard 65.492 osób; Simplon 27.671; Splügen 24.144; St. Bernard 23.991.

— W jakim stopniu Kanał Suezki przyczynił się do podniesienia handlu, okazuje się z następujących liczb: w r. 1870 przepłynęło przez kanał 486 okrętów, a w 1873 r. 1172.

— Akademja umiejętności Berlińska ofiarowała podróżnikowi po Afryce Hildebrandowi 2000 talarów, na poparcie poszukiwań, czynionych przez niego w Afryce środkowej. Hildebrand znajduje się obecnie w Zanzibarze.

— Wiedeński nadworny fabrykant fortepianów, Bösendorfer, wynalazł zupełnie nową budowę deki rezonansowej, niezmiernie ciekawą tak pod względem fizycznym, jak akustycznym, i dającą wyborne rezultaty.

— Lesseps przedstawił Akad. paryskiej nauk całą serję ciekawych obserwacji nad formowaniem się ław solnych, znajdujących się w Gorzkich jeziorach, które przecina kanał Sueski. Wczasie gdy Izraelici opuszczali Egipt, przypływ morza Czerwonego dawał się uczuwać aż u stóp pagórka Serapeum, w okolicach jeziora Timsah. W 1400 lat potem, kiedy Necos rozpoczął kanał Faraonów, grunt międzymorza uległ już zmianie: podniósł się i fale morza Czerwonego dochodziły tylko do Chalouf. Podnoszenie się to gruntu powolne trwało bez przerwy, aż do dni naszych i dowiedzioną jest rzeczą, że za Ptolomeuszów grunt międzymorza Suez był niższy o trzy metry, niż jest obecnie. Gorzkie jeziora zaś napełnione były wodą słonawą, przeszło tysiąc lat temu; potem w perjodach nierównych przyjmowały w siebie wodę z morza Czerwonego. Gdy zaś przestały już otrzymywać ją chyba tylko w epoce wielkich przypływów równo nocnych, lub innych wyjątkowych, parowanie wysuszyło te jeziora, sól się złożyła i stopniowo w grubości powiększała. Każda ława solna składa się z cienkich warstw soli, grubości od pięciu aż do 25 centymetrów, oddzielonych jedna od drugiej warstwą delikatnego piasku. Obliczają na 970 miljardów kilogramów całkowity ciężar ławy solnej z piaskiem, a na 21 miljonów metrów sześciennych objętość wody dostarczonej przez morze Czerwone w setce nawodnień. Sól ta z jezior Gorzkich rozpuszcza się w wodach kanału i powiększa ich słoninzę do tego stopnia, że metr sześcienny tej wody wydaje po wyparowaniu 65—75 kil. soli, podczas gdy takaż sama objętość wody z morza Śródziemnego daje tylko 40 kil.

Szkolnictwo.

— Na uniwersytecie brukselskim, hr. Mieczysław Mierzejewski otrzymał stopień doktora praw.

Gospodarstwo, przemysł i handel.

— Dnia 15. b. m. została otwarta w Warszawie wystawa płodów rolniczych, na którą zgłosiło się do 500 wystawców. Bliższe szczegóły poda nam nasz stały korespondent warszawski.

— W Warszawie zawiązało się towarzystwo eksploatacji węgla kamiennego i innych górniczych produktów. Na czele stoją L. Kronenberg i J. Natanson. Kapitał zakładowy 1,500,000 rubli, w akcjach po 250 rubli.

— Od r. 1872 istnieje w powiecie Częstochowskim, w Klepaczowie nad Wartą, pierwsza polska fabryka papki drzewnej, z której papier się wyrabia, założona przez Andrzeja Klebera. Fabryka ta wyrabia rocznie około 6000 cetnarów bardzo dobrej papki.

— Spółka jedwabnicza, zawiązana w Królestwie Polskiem w r. 1853, z kapitałem 50.000 rubli, który okazał się niedostatecznym, zamierzała rozwiązać się na posiedzeniu z d. 4 b. m. odbytem w Warszawie. Do rozwiązania atoli nie przyszło, ponieważ nie zebrała się statutem przepisana liczba akcjonarjuszów. Odroczono z tego powodu ostatnie zebranie do dnia 14. października rb. Zarząd usiłował połączyć spółkę jedwabniczą ze spółką pszczolarzy, ale po bliższem rozpatrzeniu się, obie strony przyszły do przekonania, że taki związek nie wyszedłby na pożytek ani jednej, ani drugiej spółki. Przez rozwiązanie spółki, jedwabnictwo poniesie w Królestwie polskiem dotkliwą klęskę.

— W lasach bawarskich pojawił się chrząszcz, niszczący tak gwałtownie wszelkie gatunki drzewa, że w kilku tygodniach całe przestrzenie wyglądają jakby spalone. Z tego powodu wielkie w tamtych stronach panuje zaniepokojenie umysłów. Już dotąd obliczają szkody na miljony.

— W Paryżu odbywa się od d. 15. bm. do 11. października wielka wystawa owadów, tak pożytecznych jak i szkodliwych, wraz z przyrządami służącemi do udoskonalenia produktów pierwszych, a tępienia drugich.

Wojskowość.

— Japończycy chcąc raz na zawsze wytępić korsarzy z wyspy Formose, zakupili od Europejczyków 8 fregat i zbroją 15.000 ludzi.

— Angielska artylerja zamierza zamiast prochu strzelniczego, używać teraz mięszaniny wynalezionej przez dyrektora fabryki prochu w Woolwich, składającej się z saletry i bawełny strzelniczej. Siedm gramów tej nowej substancji, taki robią skutek jak 368 gramów zwykłego prochu.

— W Moskwie przygotowują się znowu do zreorganizowania armji. Dotychczasowy system francuski będzie obalony, a zostanie przyjęty czysto pruski. Armia będzie podzielona nie na okręgi ale na korpusy, z których każdy będzie liczył dwie dywizje piechoty, a jedną kawalerji. Skutkiem tego będzie powiększona liczba pułków kawalerji, która dotąd tworzyła część dywizji, każda po 6 pułków. Pułki mają również otrzymać nazwiska swoich okręgów poborowych.

Z historji ludów.

— Znany filolog i profesor wiedeński, Franciszek Miklosich, ogłosił dzieło o Cyganach, które w świecie naukowym niepospolite zrobiło wrażenie. Wiadomo, że lud ten koczowniczy, znajduje się niemal we wszystkich częściach świata, lecz dotąd nikt jeszcze nie zbadał właściwego jego pochodzenia. Kolebką jego są prawdopodobnie Indje wschodnie, zkąd dostał się do Europy, Azji i Ameryki. Miklosich w pracy swojej zajmuje się głównie językiem Cyganów, usuwając na drugi plan ich zwyczaje, obyczaje i inne właściwości. Po długich badaniach autor przyszedł do przekonania, że mowa cygańska jest spokrewniona z siedmią nowohindustańskiemi narzeczami, których nazwiska są następujące: hindi, maharata, pendżabi, sindhi, guzerati, bengali i orissa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, wyszli oni z indyjskiej swojej ojczyzny, na 1000 lat przed narodzeniem Chrystusa, tj. w czasie, gdy pokrewne z ich językiem narzecza ostatecznie się uformowały. W ciągłej wędrówce po szerokim świecie, Cyganie przyswoili sobie bardzo wiele wyrażeń tych ludów, między któremi dłużej przebywali, skutkiem czego ich mowa jest dziwną teraz słów mięszaniną. Pierwszą o nich wzmiankę znajdujemy w kronikarzach europejskich z XIV i XV wieku. Ilu ich jest na całym świecie, trudno oznaczyć, ponieważ, jak wiadomo, przechodzą oni ciągle z miejsca na miejsce. Najwięcej jest ich we Węgrzech i w Rumunji. — Znakomity nasz pisarz J. J. Kraszewski owiał ich dziwnym urokiem w jednej z najpiękniejszych swoich powieści p. t. „Chata za wsią.“

Nekrologja.

— Franciszek Piotr Wilhelm Guizot, jeden z najznakomitszych uczonych francuskich, umarł dnia 12. bm. w posiadłości swojej Val Richer. Nieboszczyk był profesorem w Sorbonie i kilkakrotnie ministrem. Co do zasad politycznych należał do konstytucyjnych rojalistów. Z dzieł jego historycznych są najwięcej czytane: „Cours d' histoire moderne; Histoire de la civilisation en Europe, i Histoire générale de la civilisation en France.“ Zmarły liczył 87 lat.

ROZMAITOŚCI.

— W części, poświęconej bibliografji francuskiej, wspomnieliśmy w dzisiejszym numerze o zajmujących pamiętnikach hrabiny d' Aulnoy, wydanych w Paryżu. Autorka odwiedziła Madryt w r. 1669. Ciekawe to były czasy. I tak dowiadujemy się z powyższego dzieła, że po śmierci króla hiszpańskiego, nietylko jego żona była zmuszona wstąpić do klasztoru, lecz także wszystkie oblubienice nieboszczyka, jeźli ma się rozumieć, król za życia miał jakie. Zwyczaje były po większej części maurytańskie; kobiety np. siedziały na poduszkach i dywanach, jak turczynki. Rozdział między niemi a mężczyznami był także wschodni. Przy pewnej uroczystości,

autorka spotkała sześćdziesiąt dam, a ani jednego kawalera, co wesołą i świat lubiącą francuskę niezmiernie irytowało. Przynajmniej jeden karzeł musiał być w każdym domu zamożniejszym. Im wyżej, tem surowsze przepisy etykiety. Przy tej sposobności hrabina opowiada znaną anegdotkę o śmierci Filipa III., który umarł dla tego, ponieważ nie było przy nim właśnie owego granda, który jeden tylko miał prawo i obowiązek odsuwać naczynie z żarzącemi węglami. Przedewszystkiem każdego cudzoziemca uderzała w Madrycie niesłychana liczba sług niepotrzebnych. Gdy grand umarł, syn jego musiał brać wszystkich służących ojca, choćby ich było nawet kilkuset; gdy matka umarła, to i jej służące przypadały mu w spuściźnie. Pewnego razu — opowiada autorka — będąc u księżnej Ossuna, osoby bardzo bogatej, zdziwiłam się niepospolicie, widząc wszystkie przedpokoje i sale przepełnione dziewczętami i kobietami. Na zapytanie, ile ma sług, otrzymałam odpowiedź: „Teraz mam tylko trzysta, ale niedawno miałam ich pięćset.“ A mimo tych zastępów, żaden szlachcic nie mógł trzymać dla własnej usługi więcej jak trzech służących. Używanie było celem życia mężczyzn—intrygi miłośne życia kobiet. Grand nigdy nic nie kupował, nigdy sam pieniędzy nie wydawał, nigdy wreszcie dóbr swoich nie zwiedzał, uważając to wszystko za zajęcie ubliżające wielkiej jego godności. W tem zastępowali go sekretarze. O ówczesnych kobietach hiszpańskich możnaby powiedzieć, że nie miały nóg, taką tajemniczością osłaniały tę część swego ciała. Żona Filipa V. spadła raz na polowaniu z konia, ale noga jedna została w strzemieniu. Don Alonzo Marique widząc to, okazał się na tyle odważnym i zręcznym, że jednym rzutem uwolnił nogę królowej z niebezpiecznych więzów; ocaliwszy życie swojej pani, siadł coprędzej na swego rumaka i uciekł, wiedział bowiem, że za dotknięcie się ręką nogi królowej, byłby niechybnie na śmierć skazany. Aby stopy dobrze ukryć, kobiety nosiły z przodu niesłychanie długie suknie, skutkiem czego nie chodziły, ale prawie pływały, tak powolne i monotonne były ich ruchy. Róż i bielidło były na porządku dziennym; żadna dama dobrze wychowana nie mogła się bez nich obejść; nawet gors i ramiona bywały malowane. Kobiety wyższego świata, nosiły ciągle okulary, nie zrzucając ich nawet przy obiedzie, nie dla tego by miały wzrok krótki, lecz żeby poważniej wyglądać... Nieporządek w mieście był niesłychany, zepsucie obyczajów ogromne. Hrabina była raz na walce byków, z której wyszło kilka osób ciężko poranionych, a dwie zostały zabite. Skarżono się, mówi ona, że walka źle się skończyła; że mało krwi się przelało; uroczystość z taką wystawą urządzona, powinna się była skończyć śmiercią przynajmniej dziesięciu ludzi. Takiemi to instynktami kierowało się ówczesne społeczeństwo hiszpańskie!

— Rozglądając się pomiędzy wielkimi mężami, którzy w publicznem życiu Francji, odegrali, lub odegrać jeszcze mogą znaczącą rolę, musimy w pierwszym rzędzie ich postawić Leona Gambettę. O stanowisku jego politycznem napisano już wiele, rzeczy to znane; ale prywatne jego życie naszkicował teraz właśnie żywemi barwami pewien Anglik; opis ten ma być wiernie z natury zdjętym. Wedle niego tedy, trudno znaléźć mniej próżnego, mniej kochającego się w wygodach i skromniejszego człowieka, jak Gambetta. Gospodarstwo jego jest najprostsze w świecie. Niezamężna ciotka, której był niegdyś wychowańcem, stoi obecnie na czele jego domu, zarządza jego dochodami, oszczędza, wypełnia obowiązki sekretarza przy nim i broni go od nieproszonych gości, których z prawdziwie francuską zręcznością pozbywać się umie. Od początku prawniczej karjery swojej, zamieszkuje Gambetta ten sam skromny dom, przy ulicy *Montaigne*. Odpowiednio do swego zawodu, posiada on przyzwoite umeblowanie, którego jednak ogólna wartość przed dwoma laty jeszcze 400 fr. nie przenosiła. Od tego czasu bowiem obdarowano Gambettę kilkoma przedmiotami ozdoby i wygody, wygodnemi fotelami i dywanem (ten ostatni — podarek od Alzatek); dywaniki jednak w jego sypialni wytarte do nitek pozostały. Za lustrami sterczą fotografje, księgi wszędzie: na stołach i stołkach, w salonie, koło jego łóżka. W najnowszych czasach czyta on w łóżku i to tylko mowy obecnych wielkich mężów stanu; mowy te w wielu miejscach popodkreślane, — szczególniej Bismarkowskie niebieskim ołówkiem, i opatrzone uwagami na marginesach. Na marginesie jednej z mów Cobden'a znajduje się zdanie Monteskjusza, którego treścią, że z ustąpieniem wpływu Anglji na politykę kontynentu, militaryzm głowę podniesie. Obok tej cytaty stoi uwaga: *Cest ce que est arrivé*. (Tak się i stało) L. G. Dla przyjaciół jest Gambetta przed południem w domu. Obcy z trudnością tylko dostęp do niego otrzymują. Przyjaciół przyjmuje czasami bardzo prostem śniadaniem, i wtedy to najwyraźniej przymioty jego na jaw występują. Prowadzi rozmowę z niezmiernem ożywieniem, myśli wyrywają się zeń w niezmiernej obfitości, a ztąd w szorstkiej i urwanej najczęściej formie. Głębsze wzruszenie zdradza się u niego silniejszem pociąganiem cygara. Ironicznym jest bardzo często, ale gryzącym i złośliwym nigdy, owszem pewien zdrowy śmiech, który ucinkom jego towarzyszy, daje im cechę szczerości i łagodności. Zazdrość i niska zawiść dalekiemi są od niego, i w tem to właśnie największa siła jego, jako naczelnika stronnictwa. Był wrogiem Thiers'a w 1870 r. dopóki w nim tylko narzędzie Orleanistów widział, od czasu jednak, jak Thiers wyraźnie za republiką się oświadczył, Gambetta stoi wytrwale po jego stronie.

— Armja chińska składa się z trzech kategorji żołnierzy, wedle ich pochodzenia. Pierwsza klasa: żołnierze wielkiej chorągwi, druga: żołnierze zielonego sztandaru, trzecia: ochotnicy. Pierwsi są to potomkowie Mandżurów, Mongołów i Chińczyków, którzy najprzód poddali się władzy zwycięzkich Tatarów. Ludzie ci, w liczbie 250 do 300 tysięcy, służą przez całe życie w armji, mają nad sobą dosyć skomplikowaną hierarchję i tworzą rodzaj osad, utrzymujących się w części własną pracą rolniczą, w części zaś z podatków umyślnie dla nich ustanowionych a sięgających jeszcze czasów inwazji tatarskiej. O awansach pomiędzy nimi konkurs rozstrzyga. Kandydaci okrom naukowych wiadomości, złożyć muszą także dowody pewnej wprawy w używaniu strzelby i łuku. Żołnierze zielonego sztandaru, odpowiadają naszej żandarmerji. Liczba ich niewiadoma, chociaż na papierze liczą ich pięćset do sześciuset tysięcy ludzi. Są bardzo źle płatni i utrzymują się z rzemiosł, nieraz wcale nie rycerskich. Ochotnicy nareszcie zwani d z i e l n y m i, nie dla odwagi swojej, ale ponieważ znak chiński odpowiadający temu słowu noszą wypisany na piersi, tworzą rzeczywistą armję czynną, używaną do prowadzenia wojny na południu cesarstwa. Rycerze ci, więcej straszni ludności własnego kraju, aniżeli wrogom, zaciągają się na pewną oznaczoną tylko wyprawę, a za powrotem, najczęściej rozbijają po drogach.

— We Francji sprzedaż fałszywego autografu karaną jest na równi z oszustwem. W Anglji nie postępują tak srogo, bo oto córka Thackeraya, romansopisarza używającego i u nas wielkiej sławy, ostrzega w dziennikach przed gromadą oszustów sprzedających listy i manuskrypta jej ojca fałszywe. Naśladowanie jest tak dokładne, że sami nawet przyjaciele wielkiego pisarza dali się zwieść owym figlarzom.

— Bogowie nikną! Dla zaradzenia kłopotom finansowym, Mikado Japoński rozkazał zabrać i przetopić na monetę wielką liczbę złotych i srebrnych posągów bóstw, które należały do świątyń i klasztorów krajowych. Co do bogów z bronzu, uwiadomiony przez kupców angielskich o ich znacznej wartości, ponieważ były masywne, odesłał je do Europy, do Sheffieldu, gdzie przetopiono je na dęte i w tym stanie dawnym posiadaczom zwrócono. Rząd Japoński, a szczególniej pośrednicy, skorzystali z pozostałej ilości bronzu. To niepraktykowane dotąd postępowanie przejęło wielkim strachem starszą i nabożniejszą część ludności Japońskiej. Widziano w tem przepowiednię niezawodnych i bliskich klęsk. Nie obyło się więc przy tem bez szemrania, a nawet gdzieniegdzie i bez zaburzeń, tem bardziej że motyw, którym ajenci usprawiedliwiali postępowanie swoje, ranił uczucia religijne i tradycyjne Japończyków. Twierdzili oni bowiem, że bóstwa dotychczasowe źle wymodelowane i ulane — są śmieszne.

— Upały tegoroczne dochodziły w niektórych miejscowościach w Europie do bajecznej wysokości. W Grecji termometr wskazywał kilka razy w cieniu 41 stopni (centigrade), we Włoszech 40, w Szwecji 37, w Niemczech 39, a w Hiszpanji 39 i pół. Od roku 1705 do 1863 t. j. w ciągu 158 lat, tylko 36 razy panowało tak wielkie gorąco. Lato tegoroczne jest zupełnie popobne do lata z r. 1811. I wtedy rozpoczęło się ono późnemi mrozami.

— I w Kaliforni nie ustał jeszcze sezon ogórkowy, nic więc dziwnego że „Sutton Crek Independent“ następującą historją czytelników swoich bawi. Niejaki pan Stokes opowiada w ten sposób o nowo odkrytej magnetycznej pieczarze. „Po półtoragodzinnej podróży podziemnemi chodnikami, znalazłem się z towarzyszami mojemi w długiej ale wąskiej jaskini, której ściany nie z wapienia, ale z żółto-brunatnego, lub czarnego kruszcu się składały. Już przy wejściu zauważyliśmy osobliwą niespokojność igiełki magnesowej, która wciąż z jednej strony ku drugiej wibrowała a często przez minutę kręciła się z taką szybkością, że niewidoczną się stawała. Przytem postrzegliśmy także w sobie jakieś dziwne uczucie, rodzaj dreszczu, który w plecach się zaczynał i aż do końców palców rozszerzał. Im bardziej zaś zagłębialiśmy się, tem mocniej rosło natężenie tego uczucia i nieznośnem się prawie stawało.“ W miarę, jak podróżni posuwali się naprzód, ściany pieczary magnetyczniejszemi się stawały; jednemu, z wędrowców, niosącemu toporek, wyrwała go z ręki skała, koło której przechodził, i tak mocno przytrzymała, że połączone siły czterech osób oderwać tego narzędzia od skały nie mogły. Scyzoryk, który upadł przypadkiem na ziemię, musiał tam pozostać; nikt bowiem nie miał dosyć siły do podniesienia go. Ale to wszystko było jeszcze niczem. Jeden z podróżnych nazwiskiem Mason miał na nogach parę butów Bergmana, żelaznemi gwoździami kutych. Otóż przyszyło go nagle do ziemi i ruszyć mu się nie dało. Nie było rady. Towarzysze musieli go z butów wyciągnąć i podarłszy surdut jego na płaty, onuczki mu z nich urządzić. Poczem znużeni i wstrząśnieni temi dziwami, opuścili Stokes i jego przyjaciele cożywo tę jaskinię.

— Jak świetnie tenorzysta mieć się może, przekonywa o tem wiedeńska „Theater Chronik“ na przykładzie p. Lorenza Riese, który wreszcie z komicznej opery wystąpił, naspiewawszy się na niej dosyć Lyonela, Stradelli i wielu innych partji tenorowych. Theater-Chronik liczy w ten sposób: Jeżeli p. Riese zarabiał rocznie 24.000 złr. a wystąpił za to około 80 razy i śpiewał 80 partji składających się z 1000 nót, albo zgłosek, to za każdą sylabę wygłoszoną wziął 30 ct. i tak: „Ach ten wdzięk“ (90 ct.) „Kobieta zmienną jest“ (1 złr. 80 ct.) albo „Halli! hallo! jak pięknym był pocztyljon z Lonjumeau!“ (4—20). Tymczasem najzdolniejszy aktor prowincjonalny pobiera najwyżej 1200 złr. rocznie. Za to musi najmniej 240 razy wystąpić, i to mniej więcej w rolach o 12 — 13 arkuszach, czyli 5000 zgłosek wymówić ma na jedną rolę. Utalentowany tedy aktor wygłosić musi 15 sylab, nim zarobi 1 ct. „Być albo nie być oto jest pytanie; jestże szlache- (1 ct.)tniej znieść pociski itd.... Przysięgnij mi że mnie kochasz, przysięgnij!... O przysięgam! (1 ct.)“ Jawne ztąd, że lepiej jest i że warto być tenorem!

Odpowiedzi Redakcji.

P. S. w Mog: W każdym numerze **Tygodnia** będzie umieszczona **Pogadanka** Jana Lama. P. Lam jest stałym członkiem naszej redakcji.

Anonimowi w Krakowie: Trudno było donieść w „Tygodniu“ o tem, co po wydrukowaniu pierwszego numeru stało się w trzy dni później. Wkrótce znajdziesz pan sprawę tę w naszem piśmie tak wyczerpaną, jak nigdzie indziej.

Panu K. M. w Tarnowie: Niech nas naśladują... my się za to nie gniewamy. Wszakże to nam zaszczyt przynosi, że tak prędko znaleźliśmy naśladowców.

Hr. S. w S. poczta Stare Sioło, i Wny. T. Ch. w Żurawnie: Na okładce pierwszego numeru „Tygodnia“ napisaliśmy wyraźnie, że numer następny wyjdzie 20go Września, co też dziś nastąpiło. We Wrześniu dajemy w ten sposób dwa numera nadliczbowe, gdyż regularne wydawanie poczyna się dopiero od Października. **Tydzień** nie spóźni się nigdy ani o godzinę.

Panu L. B. w Dreznie: Słuszne pańskie uwagi; dołożymy starań aby się do nich zastosować. Każdą zdrową radę chętnie przyjmiemy.

Panu J. W. poczta Nieźwiska: Oddaliśmy księgarni do załatwienia.

Treść Nr. 2.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.